№ 18. Warszawa, dnia (18) 30 Kwietnia 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Tak, rzecz niesłychana, w Rudzie nastrojono stary fortepian i wieczorami grywała panna Irena. Grywała ślicznie; zdarzało się, że pani Taida słuchając, opuszczała ręce z robotą na kolana, żeby sobie wrażenia niczem nie rozpraszać.

Wtedy mruczała gderliwie:

— Takie miłe dziecko. Szczęściem by komu stać się mogła, żeby nie ta przeklęta emancypacya! Zmarnowała siły i zdrowie — taka szkoda!

Czytać w nocy w łóżku zabraniała pani Taida, ale dopilnować nie bardzo mogła, bo miała sen zdrowy a wstawała o świcie. Ale przecie pewnej nocy wstała i cichaczem poszła na przeszpiegi.

W pokoju panny Ireny paliło się światło, zastała ją nad książką przy stole.

— To tak!—napadła z góry. — To zamiast spać, pani czyta — pewnie jakieś głupie romanse. Gdzie jest klucz od biblioteki? Proszę mi go oddać.

Dziewczyna przerażona podała klucz, ale poczęła z płaczem tłómaczyć się i przepraszać.

— To nie romanse, proszę zobaczyć! Ja się uczę ogrodownictwa, i przypominam sobie botanikę. Mnie taki wstyd przed ogrodnikiem!

Istotnie wertowała botanikę. Pani Taida zabrała książki oburzona.

— Zabraniam pani uczyć się czegokolwiek, i zabiorę panią za karę do pokoju obok mojego, dla kontroli. A jak pani ośmieli się czego uczyć, napiszę do rodziców, że pani się zabija, mnie nie słucha, najgorzej postępuje. Zaraz proszę się kłaść! Czy pani nie czuje, że ma bzika z tą nauką.

— Ależ ja nic nie umiem, nic nie robię. Darmo jem chleb pani. Ja czuję, że ogrodownictwo to moje powołanie—jęczała panna Irena.

— To w ostateczności ucz go się pani w dzień. Tymczasem zaś powołaniem pani jest nabrać sił i słuchać mnie.

Codzień odbywały się podobne sceny. Dziewczyna była opętana żądzą nauki i pracy.

Szczęściem miało się ku wiośnie, więc można było dać jej więcej swobody, bez strachu o przeziębienie. Była też zdrowsza, marcowe wichry ją opaliły, powietrze pobudzało apetyt, dreptała dzień cały po ogrodzie, znosząc pani Taidzie pierwsze pierwiosnki i fijołki, zanudzając ją pytaniami ogrodniczemi.

— Pani wszystko umie! — zachwycała się szczerze. — Pewnego dnia zajęła się też pasieką i wróciła spuchnięta, zapłakana. Nie z bólu, ale z rozpaczy, że snać nie umie z pszczołami się obchodzić, kiedy ją tak tną niemiłosiernie.

— Nie dosyć się uczyłam! — biadała — za krótko chodziłam na kursa.

— Bzik!—mruczała pani Taida.—Niech się pani opamięta. Cierpliwości lat parę i praktyki!

— Ja jestem za głupia widocznie. Nie mogę sobie dać rady. Cały dzień przesiedziałam w pasiece, na nic już nie miałam czasu. Coby to było, żebym miała tyle roboty co pani!

— Ależ dziecko! Ja mam siwe włosy, trzydzieści lat wprawy, całą armię dozorców i służby. Mój obowiązek inny. Pani na swe wątłe siły dość robi. Nie można się tak ciągle dręczyć. To pani kradnie energię.

Ale próżne były perswazye. Panna Irena była zawsze niezadowolona z siebie, w ciągłej trosce żeby posiąść wszystkie fachy i wszystkie wypełnić.

Dopiero gdy musiała odleżeć swą zapalczywość do roboty, pokorniała, obiecywała poprawę, posłusznie słuchała gderania i ledwie na nogach, znowu robiła swoje.

Na Wielkanoc, niespodziewany, zjawił się Włodzio. Ucieszyła się pani Taida, ale radość krótko trwała. Przywiózł smutną wieść, że Ozierski nagle zmarł z anewryzmu, a żona z rozpaczy prawie od zmysłów odchodzi.

— Siedziałem nad nią trzy dni! — opowiadał. Rozesłałem depesze do wszystkich córek i wie mama która przyjechała? Najmniej spodziewana — Stasia. Tamte się wymówiły, jedna chorobą dziecka, druga brakiem funduszów. Siedzi bo gdzieś niedaleko Chin! No, jak się ożenię, a będę miał córki, jednej nie dam za mąż, żebym miał choć w chorobie ratunek. Przyjechała tedy Stasia choć straci półrocze, najważniejsze, ostatnie. Ale wcale się nie targowała, ani wspomniała. Zajęła się chorą bardzo starannie i umiejętnie, byłem zachwycony i wyznałem jej to — chciałem nawet w rękę pocałować. Na to mnie zwymyślała i wyrzuciła za drzwi! Co do towarzyskich zalet, widoczne, że na te kursa nie uczęszczała.

— Jakto, nie podziękowała ci za staranie i opiekę.

— Owszem, zaraz na wstępie, po swojemu, szorstko. Ale gdzież to panna Irena?— obejrzał się.

— W ogrodzie zapewne! Ale Ozierska wyzdrowieje, jak myślisz?

— Mam nadzieję, że tak. A mama z niej rada?

— Z Ozierskiej? Co ty pleciesz!

— Ja o pannie Irenie myślałem.

— Ach o niej! Powiem ci otwarcie, że chociaż pomocy mam z niej mało, ale radam. Ma bzika, ale dobra dziewczyna.

— Mam do niej list od rodziców. Wzywają do siebie!

— Po co? Właśnie zaczęła nabierać sił i zdrowia.

— Tęsknią starzy po niej.

— Otóż to mój los i pociecha z obcych towarzyszek. Ledwiem sobie jedną dobrała, zabierają. Znowu szukaj, przebieraj, i dostań jakiegoś cudaka!

— Więc to ja mamie dogodziłem!—uśmiechnął się Włodzio. Teraz jak sobie żonę wybiorę, mama na niewidziane da błogosławieństwo.

— No, mam nadzieję, że tylko sobie na żonę wybierzesz zdrowszą i silniejszą. Masz zapewne dosyć chorych i kuracyi poza domem. Ale dobrze żeś przyjechał. Mam dla ciebie setkę pacyentów, i chłopi wciąż się dowiadują „kiedy nasz doktór przyjedzie.” Już to Dysi nikt tu nie zastąpi. Pannie Irenie nawet nie wspominałam o chorych, boby desperowała, że jeszcze się nie uczyła medycyny, a dość i bez tego desperuje! Bzik jest! Jakiż fundusz zostawił Ozierski? Nie wiesz?

— Wiem, bom widział testament. Wcale nieźle zebrał. Każda z córek i matka będą miały po piętnaście tysięcy. Czy dawno mama miała list od Kazia. Nicpoń do mnie się nie odzywa od pół roku.

— Ja mam list co tydzień, ale jak go znasz, nic o sobie nie pisze—tylko że zdrów. Dzięki Bogu że już w Czerwcu wraca na stałe.

— Możebyśmy poszli do ogrodu?—zaproponował Włodzio, coraz niespokojniejszy.

— Idźże sam. Ja mam dosyć spacerów. Przygotuję ci tymczasem jedzenie i pokój.

Włodzio wyszedł na ganek i obejrzał się naokoło. Zewsząd pachniały bzy i świergotały ptaki. Poszedł w szpaler grabowy, potem ścieżką wśród kwitnących jabłoni; nigdzie nie widać było panny Ireny, której szukał.

Dopiero mignęło mu coś w inspektach, i tam ją znalazł nad grzędami rozsady.

— Dobry wieczór pani!—zawołał radośnie.— Szukałem pani wśród bzów, a znajduję przy sałacie.

— To nie jest sałata, ale kapusta—odparła podając mu rękę.

— Mniejsza jakie tam zielsko kuchenne! Ale pani się nie wydaje ani zdziwiona, ani bardzo uradowana moim niespodziewanym widokiem. Warto było lecieć z Warszawy na takie obojętne przyjęcie.

— Kiedy mi już ogrodnik pana przybycie ogłosił. Miałam czas zebrać zmysły — rzekła żartobliwie.

— I nawet pani nie odstąpiła kapusty, by mnie powitać.

— Mówię panu, zbierałam zmysły.

— Uważam dużo nowych nabytków w pani. Nabrała pani zdrowej cery, trochę ciała, i masę sarkazmu. To ostatnie w największej dozie — stanowczo. Zkądże ten ostatni nabytek?

— O, to nie tutejsze. Korzystałam jeszcze w Warszawie z pana przykładu, uczyłam się, teraz praktykuję.

— No, no! Żeby tak dłużej wiejskiego powietrza, pobiłaby pani profesora. Szczęściem, rodzice stęsknili się za panią, i wzywają do siebie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z RUCHU UMYSŁOWEGO.

Antoni Lange: Studya z literatury francuzkiej.
I. Matuszewski: Swoi i Obcy.

(Dokończenie.)

Baudelaire—newrozy, Leconte de Lisle naszego pessymizmu, Sully Prudhomme zaś wedle Langego przedstawicielem jest naszej rezygnacyi. Sceptyk cywilizowany, smutny, pełen jednak szacunku dla zdobyczy naukowych swego wieku i niepozbawiony wiary w człowieka, w postęp, w ewolucyę.

„W myśli i uczuciu, w formie i treści — mówi Lange—Prudhomme iest spokojny, łagodnie smutny, spragniony prawdy, szukający pociechy i zrezygnowany.”

Czujemy, że jako artysta Sully Prudhomme najmniej pociąga ku sobie autora studyów. Oddaje mu jednak sprawiedliwość, jako temu, który wzywa do pracy, powstrzymuje dłoń samobójczą, wskazuje wielkie znaczenie życia, podnosi ideę braterstwa, łączności, sympatyi, potępia egoizm, prorokuje sprawiedliwość i szczęście. Przed czytelnikiem autor „Justice” staje jako człowiek przesiąkły kulturą, i kochający jej dobro, jako mędrzec pełen przebaczenia dla tych, którzy źle czynią i miłości dla tych, którzy cierpią.

„Sully Prudhomme jest jednym z niewielu pisarzy naszych czasów, który w czytelniku nie burzy spokoju. Sully Pr. nie olśniewa, lecz staje się przyjacielem, z którym się chętnie rozmawia. Siłą woli doszedł on do tego, że choć sam zbolały, wlewa w serce pociechę, rezygnacyę i wiarę w przyszłość. Może nie jedno ukrywa, może nie zawsze jest całkowicie szczerym. Ale uszanować musimy to szlachetne pragnienie, aby skołatane piersi spółcześników napoić ciszą. I zdaje nam się, że ze wszystkich pisarzy współczesnych ten wybrał drogę najgodniejszą mędrca i człowieka dobrej woli.”

Jednem słowem Sully Prudhomme więcej ma w sobie miłości, niż gniewu. Miłością tą ogarnia ludzkość, ale przedewszystkiem naród swój i ojczyznę swoją.

W pięknym cyklu sonetów p. t. „France” mówi poeta — Ojczyzna to nie słodka oaza, w której się odpoczywa. Jest to ziemia, która nam swych więzów nie ofiaruje, ale je nakłada; ziemia wcielona w nas pomimo nas. Jest to ziemia związana z nami przez niepamiętny hymen gleby i rasy. Dlatego jest nam ona świętą i straszliwie drogą.

Że kiedyś w młodości czuł się obywatelem świata, że wołał: „moim współrodakiem jest człowiek“—żałuje poeta i mówi: *plus je suis Français, plus je me sens humain.* Ci, którzy u nas słyszeli o Prudhommie mają o nim bardzo niezgodne z rzeczywistością wyobrażenie. Znają go przeważnie z wiersza p. t. „Voeu” (ślub), w którym autor w chwili pessymizmu wyrzeka się ojcowstwa, by nie dostarczać życiu więcej ofiar. Niedawno, jedno z pism naszych, należących wedle wyrażenia Jana Śniadeckiego do „powszechnego i nierozerwalnego związku sów i puszczyków,” którego zadaniem sprawić, „ażeby nikt rodzący się u nas światła nie widział” przedrukowało go w całości, dorzucając światłe swoje komentarze.

W istocie jednak, jak to zaznaczyliśmy już wyżej, Prudhomme nie należy do zrozpaczonych pessymistów. Kocha on ideały, i wierzy w zejście ich na ziemię, choćby w ostatnim dniu jej istnienia.

W wierszu p. t. „L'ideal“ mówi:

„Księżyc lśni w pełni, lazur gwiaździsty
Oświeca ziemi blade miraże,
W powietrzu płynie duch świata czysty,
A ja .o gwieździe najwyższej marzę.
Marzę o gwieździe tej niewidzialnej
Która w oddali nieznanej świeci,
I zejdzie do nas z sfery swej dalnej,
By olśnić oczy przyszłych stuleci!
Więc gdy swem światłem błyśnie wspaniałem
Ta gwiazda piękna, jasna daleka,
Wy jej powiedzcie, że ją kochałem
O wy, ostatnie syny człowieka!”

Studyum o symbolizmie robi wrażenie rzeczy trochę przestarzałej. I nie dziw, napisane bowiem zostało przed laty dziesięciu. Od tego zaś czasu nowy kierunek zdążył rozwinąć się i wzrosnąć, pokazać czem jest, i rozwiać niejedno, co do wartości swojej złudzenie. Przyznaje też sam autor, że przesadził miarę sympatyi i entuzyazmu, i nowy ruch literacki światłem ognia bengalskiego oświecił.

Znajdujemy tu na pierwszym planie sylwetki zmarłego już Verlaine'a i Stefana Mallarmé, głównych przedstawicieli symbolizmu, z których jednak każdy odmienną poszedł drogą, Verlaine drogą prostoty, Mallarmé sztuczności doprowadzonej do ostatecznych granic, i czyniącej jego utwory częstokroć niepodobnemi prawie do zrozumienia.

„Muzyki tylko i muzyki jeszcze!
—wołał Verlaine—
Niech pieśń twa będzie jakby aromatem,
Płynącym z duszy, która uleciała
Ku innym niebom i innej miłości!
Niechaj pieśń twoja będzie dobrą wróżbą,
Rozlaną w świeżym wietrzyku porannym
Co wiejąc muska trawę i tymianek,
A wszystko inne jest literaturą!

dodaje, pogardliwie usposobiony względem wszelkiego wysiłku artystycznego, względem wszystkich tych utworów, które przyrodzonym pędem z duszy poety nie wypłynęły. Mallarmée przeciwnie. Pracowicie składając wyrazy w enigmatyczne wiązanki, sądził, że tym sposobem najprędzej osiągnie prostotę. Całe mnóstwo wrażeń, pojęć, obrazów, pragnąłby on zamknąć w jaknajmniejszej liczbie słów; wyrazy i rymy dobiera starannie, ciągle i nieustannie poszukując symbolu.

Dalej ukazuje nam Lange Renego Ghile'a, autora „Traktatu o słowie,” w którym postawił teoryę barwności dźwięków.

Wychodząc z mistycznej zasady związku wszechrzeczy, którą Baudelaire wypowiedział niegdyś:

„Jak oddalone echa wiążące się w chóry,
Tak sobie w tajemniczej, głębokiej jedności
Wielkiej jako otchłanie nocy i światłości,
Odpowiadają *dźwięki, wonie* i *kolory.*

utrzymuje Ghile, że każdy dźwięk jest pewnej, określonej barwy, że A jest czarne, E—białe, I—niebieskie, O—czerwone i t. d.

Do teoryi tej naginał swoje utwory; chcąc wywołać wrażenie pewnej barwy, dobierał odpowiednie samogłoski, i tworzył dziwolągi.

Prócz wymienionych powyżej, autor szkiców przesuwa jeszcze przed nami cały szereg mniej lub więcej znanych postaci współczesnego Parnasu francuzkiego, rozbiera utworów ich istotę wewnętrzną i formę, i w ostatecznym wyniku swych badań powiada, że od romantyków z początku stulecia stoją ci poeci dzisiejsi wyżej „o całe pół wieku cierpień i walk, nadziei i rozpaczy, doświadczeń i rozczarowań ludzkości, że stoją wyżej od nich o całą myśl nowożytną, o całą wiedzę nowoczesną, którą przesiąkły ich mózgi.“ My zaś dodalibyśmy, że stoją od nich niżej o cały geniusz tamtych, o całą bujną zdolność twórczą romantyków.

Doprowadzony we Francyi do doskonałości rodzaj t. zw. *essais* literackich i krytycznych, znajduje u nas coraz więcej zdolnych przedstawicieli.

Książka p. J. Matuszewskiego nosząca tytuł „Swoi i obcy“ jest zbiorem takich właśnie szkiców, wyróżniających się zarówno zajmującą i powabną formą, jak i bogactwem zawartej w nich treści.

Obok bardzo zajmującej rozprawy p. t. „Subjektywizm w krytyce“ znajdujemy tu studya nad Prusem, Sienkiewiczem, dalej szkice „Byron i wpływ jego na literaturę polską,“ „Ideał bohaterstwa w dramacie indyjskim,“ „Bohaterowie jasełek“ i t. d.

Z całego tego zbioru godnego uwagi czytelników, szczególnie zajęły mnie trzy urywki: „Słowacki i Shelley,“ „Mistyka Słowackiego,“ „Geneza Eloi.“

W chwili, gdy postać wieszcza Adama Mickiewicza zasłania niejako ogółowi wszystkich innych mężów słowa, gdy na nich od pomnika jego pada wielki cień, powinnibyśmy przypominać sobie jednak od czasu do czasu o tych zaćmionych chwilowo. Powinnibyśmy zrozumieć, że nie wszystkie pierwiastki ducha narodowego wchłonął w siebie twórca „Pana Tadeusza,“ że nie wszystkich duchów u nas jest on prawowitym przedstawicielem, że nie czczą przechwałką było, gdy Słowacki mówił o narodzie swoim:

„Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał.
Kiedy kląć zechce, przezemnie kląć będzie!
Gdy zechce płonąć, ja będę zagrzewał...“ i t. d.

Wątpliwości nie ulega, że byli i są tacy, których nie Mickiewicz, ale Słowacki zagrzewa.

„Każdy wielki poeta—mówi bardzo słusznie p. Matuszewski—jest wcieleniem świadomych, lub nieświadomych ideałów i aspiracyj swojego narodu.

„Jak natura w człowieku, tak naród w poetach artystach i myślicielach swoich dochodzi do uświadomienia tego, co się kryje w jego głębinach duchowych, i poznaje niejako samego siebie: zaczyna rozumieć czem był, czem jest i czem być może.“

Zaleca tedy pilne wnikanie w ducha arcydzieł literatury, subtelną analizę twórczości geniuszów, widząc w niej dążenie do samopoznania, które ważnem jest dla jednostki, przeniesione zaś w sferę życia narodowego o wiele doniośléjsze mieć musi znaczenie.

Poświęcanie zatem niemal wyłączne uwagi jednej osobie poetyckiej naszej trójcy, z pominięciem dwóch pozostałych, jest ważnym błędem społecznym naszej krytyki literackiej.

P. M. w szkicach swoich zwrócił uwagę na stronę twórczości Słowackiego, dotąd prawie wcale nie badaną, mianowicie na jego poglądy filozoficzne, na panteistyczny mistycyzm autora „Anhelego.“

Nie nazwiemy studyum jego wyczerpującem. Jest to dopiero pierwszy zarys pracy, który w przyszłości przez autora szkiców rozwiniętym i uzupełnionym być powinien.

Nie mogąc rozpisywać się dłużej o książce p. Matuszewskiego, polecamy ją uwadze czytelników.

H. C.

Wacław Wolski.

Mglisty wieczór.

SONET.

Krakowskiego Przedmieścia trotuar szeroki,
Ćma gazowych płomieni we mgle brudnej błyska,
Otęczonych nimbami... Jak ciemne zjawiska,
W różne strony przechodnie kierują swe kroki...

Wilgotnego betonu powierzchnia lśni śliska,
Niby symbol kamienny serc twardych opoki,
Obojętnych na nędzy stołecznych widoki,
Truchlejących, by o nią nie otrzeć się zblizka...

W mroku świecą matowo powozów latarnie,
Złote oko tramwaju zamglone się zbliża,
Ruch na bruku drewnianym pulsuje mniej gwarnie...

W mglistej dali wieżyce Świętego śpią Krzyża,
Zanim senne znużenie powoli ogarnie
Wyludnione bulwary małego Paryża.

Ze świata kobiecego.

Pokazuje się że kwestya kobieca to rodzaj beczki Danaid, której napełnić, a raczej zaspokoić nie zdołają żadne ustępstwa ani reformy społeczne. Zaledwie przycichnie na chwilę w tem ruchliwem mrowisku, zaledwie dojdą z jednego krańca świata wieści o pewnych pocieszających objawach — o pracy systematycznej i względnem godzeniu się umysłów kobiecych z oczywistemi konieczościami życia, wnet rozlegną się z innego krańca wrzaskliwe powtarzanki starych bredni—ogadanych, ośmieszonych, które zdawało się, że z biegiem czasu złożyła już nareszcie kobieta raz na zawsze do archiwum swoich nadmiernych uzurpacyj, swoich żądań niedojrzałych, wraz z tajemnem życzeniem, aby te pokuszenia nieudolne z pamięci ludzkiej wymazane zostały.

Nużące jest to wszystko niesłychanie i wyraźnie czujności rodzicielskiej ani na chwilę zadrzemnąć nie wolno w naszych czasach—nużące bo niema, jak widać, kompromisów żadnych z pewną sferą nadmiernie wrażliwej umysłowości kobiecej, a przytem ta część męzkiej intelligencyi, która w nadaniu szerszych prerogatyw kobiecie, radaby widzieć rękojmię wspólnej, skuteczniejszej niż dotąd, pracy na polu społecznem, ta cała część najwierniejszych, a bezinteresownych sprzymierzeńców kobiety, opuścić będzie musiała ręce zniechęcona, i powiedzieć w końcu z goryczą: „Chyba istotnie przedwczesnem jest dla was to wszystko, czego żądacie, bo dopuszczone do głosu wypowiadacie brednie, od których więdną uszy rozsądnej istoty człowieczej, bez względu czy tą istotą będzie mężczyzna czy kobieta.

Znany już jest czytelnikom pseudonim francuzkiego autora podpisującego niektóre artykuły treści społecznej paryzkich dzienników mianem Arvède Barine. Jest to umysł trzeźwy, pióro dobre, zapatrywania jego na kwestyę konieczności roztwarcia dla działalności kobiecej szerszego niż dotąd widnokręgu, są szczere i trafne, ale ten gest opuszczonych bezradnie rąk dostrzegamy już i u niego, gdy z wyraźną goryczą kreśli ostatni swój artykuł „Małżeństwo zagrożone.“ Tym razem idzie mu o życie kobiet angielskich i o to, co Europę pod tym względem z poza cieśniny dochodzi. Powiada że literaturze angielskiej coraz więcej przybywa prac, w których kobieta ujawnia swoje zapatrywanie na stosunek małżeński z zupełną szczerością. Ta, która się każe nazywać kobietą nową — kobietą przyszłości, nie chce przedewszystkiem znać małżeństwa, a dopominając się z chorobliwą gorączką jego zniesienia, traktując sprawę ze stanowiska osobistych wstrętów, albo uwidzeń swoich, wydaje się być przekonaną najmocniej, że do przyszłości należy nie rozluźnienie już, ale wprost rozwiązanie tego wedle jej wyobrażeń potępionego związku.

A więc u schyłku XIX wieku ery chrześciańskiej pisze się na seryo przeciw małżeństwu. Nieprawdopodobne, a prawdziwe! Posłuchajmy tylko.

Mąż i żona—powiada naprzykład w ostatnich czasach jedna z głośniejszych bojowniczek angielskich za prawa kobiece,—nie mogą być związani ze sobą ściślejszym węzłem, jak dwóch naprzykład przyjaciół, których okoliczności skazują na wspólne pożycie. W małżeństwie tyle musi być obustronnego poszanowania indywidualnej wolności stron, wiele go wymaga przyjaźń. W żadnym razie zobowiązanie zaciągnięte przez dwoje ludzi wolnych, nie może pociągać za sobą pogwałcenia podstawowych zasad wolności osobistej. Co zaś do sposobu, w jaki nowy ten prąd oddziałać będzie musiał na życie, to nie dosyć, aby odnośne artykuły kodeksu zmienione zostały odpowiednio do ducha czasu; potrzeba przedewszystkiem, aby zasada prze-

mocy i nierozerwalności dotychczasowej małżeńskiego związku, nieodwołalnie przegraną została w umysłach współczesnych.

Na to ostatnie będą musiały prawdopodobnie angielskie kobiety tego odcienia poczekać cokolwiek, a nawet czekając na tę chwilę upragnioną mogą najwyżej spotkać się z czemś niespodziewanem zupełnie, a mianowicie ze stanowczą reakcyą na niekorzyść równouprawnienia powstałą. Nie tak znowu łatwo będzie przekonać społeczność dzisiejszą, o tem, że małżeństwo wraz ze swoją nierozerwalnością w zasadzie — wraz ze swojem podniesieniem do ważności sakramentu, jakto ma miejsce w religii naszej, że małżeństwo ma uledz reformie, którąby jego trwanie robiła zależnem od każdego kaprysu stron kontraktujących. Trzebaby raczej zastanowić się nad tem, że wystąpienie jawne z podobnymi zamachami na dotychczasowe pojęcia o rodzinie naszej cywilizacyi, budzi uczucie obawy zupełnie uzasadnionej, i konieczność zarazem położenia kresu zachciankom anarchicznego charakteru. Póki sobie snuliśmy utopie względnie nieszkodliwe dla porządku społecznego, póty nam na tę niewinną rozrywkę społeczności pozwalały, z chwilą jednakże kiedy się granica w tak przykry sposób przekracza, rzecz przestaje być zabawną, a ludzie stojący na straży normalnego rozwoju ludzkości bądź z tytułu nauki, której są przedstawicielami, bądź jako wychowawcy z zawodu wzrastających pokoleń, bądź nareszcie jako zwierzchnicy rodzin, zatroskani o ich przyszłość, będą zmuszeni do postawienia swojego „veto." To nawet inaczej być nie może.

Niepodobna przecież obojętnie patrzeć, jak druk upowszechnia w setkach tysięcy egzemplarzy marzenia umysłów chorych, oderwanych od życia realnego i jego obowiązków, umysłów folgujących kaprysom najczęściej poczętym ze zboczeń, natury czysto patologicznej. Niepodobna patrzeć bezradnie jak zastęp takich wykolejonych kobiet staje do zadania przechodzącego jego kompetencyę, boć wszelką reformę społeczną do zadań takich zaliczyć wypada. Jakoż nieprzewidywanie tego, że możność łatwego zrywania i zawierania coraz nowych związków zgubiłaby, poniżyła i zrobiła prawdziwą ofiarę tylko z kobiety — niezrozumienie tego, że przez nadanie wielkiej trwałości i wielkiej powagi temu aktowi, prawodawstwa chrześcijańskie miały jako cel nie co innego, tylko otoczenie dawnej niewolnicy szacunkiem i opieką— to nieprzewidywanie i to niezrozumienie wystawiają tak nazywającej siebie „kobiecie przyszłości" ujemne świadectwo intellektualnego rozwoju. Argumenty, którymi się zwalcza w tym obozie idea małżeństwa, forma o jakiej marzą reformatorki dla przyszłego związku między mężczyzną a kobietą, mniej doprawdy jeszcze warta od punktu wyjścia, i wogóle powiedzieć wypada, że zapuszczanie się w szczegóły niefortunnie bardzo wypada tutaj. Kogo przekonać mogą przykłady nieszczęśliwego pożycia małżeńskiego, kiedy na każdy przykład podobny można przytoczyć dziesięć wprost przeciwnych. Jeśli pożycie dane było niefortunnem, znaczy to najoczywiściej, że albo wybór był lekkomyślny, albo usposobienia niedosyć harmonijne; może było nawet i tak, że jedna ze stron, dajmy na to męzka, bo i tak często bardzo bywa zresztą, ma tu winy, które czynią stosunek trudnym, albo zgoła niepodobnym—to wszystko jest, bywa, trafia się — powiedzmy że trafia coraz częściej, ale nie rozumiemy doprawdy, żeby z tego wyciągnąć można oskarżenia przeciwko samej instytucyi małżeństwa. To są winy ludzi — reformujcie czyli wychowujcie człowieka, nie będzie win. Dla takiego czy dla takiej, którzy przynoszą ze sobą do wspólnego pożycia pospolity umysł, marny charakter i ladajakie wychowanie, niema instytucyi, ani formy związków żadnej, bo każde z nich przekroczy swoje prawa i nie dopełni swego zobowiązania O takich niema co mówić, bo tacy byli, są i będą zawsze motłochem, a co potrafią naprawdę, to wam pokażą dopiero wtedy, kiedy im usuniecie wszelkie przeszkody, i dacie wszelkie dowolności.

Nie stanowi też argumentu żadnego, kiedy tak zwana kobieta nowa powiada, iż żywi do związku małżeńskiego wstręt nieprzeparty. Na to są właściwie dwie odpowiedzi: albo kobieta taka mówi nieprawdę, i w takim razie szkoda czasu na rozważanie jej bredni nieszczerych, albo jest szczerą - mówi to co myśli, i wtedy nie mają rodzice nic lepszego do zrobienia, jak wezwać lekarza specyalistę.

Tak jest: albo kłamstwo, albo choroba. W pierwszym wypadku nie traktuje się indywiduum zarówno męzkiego jak żeńskiego poważnie—w drugim starania około własnego zdrowia muszą z natury rzeczy przeszkodzić niepowołanej reformatorce do pracy nad dobrem społeczeństw.

Wspomnieliśmy, że wkroczenie w szczegóły pogarsza sprawę przyszłych prawodawczyń świata niesłychanie. Nie może być inaczej— to co jako ogólnik budzi podziwienie i wykrzykniki łatwowiernej młodości, a ruszenia ramion ze strony znających życie i jego obowiązki, to samo doprowadzone do bliższego sformułowania musi koniecznie wywoływać odrazę – musi wydać się potwornością.

Zerwanie związku naprzykład wydać się może lekkomyślnością tylko — wstąpienie w drugi, daje już do myślenia, bo na tamto zerwanie rzuca dosyć niekorzystne światło, ale możność każdochwilowa zerwania i tego jeszcze drugiego przy ladajakiem napotkanem przeciwieństwie, a poszukanie sobie trzeciego, czwartego i tak dalej, nazywa się już zupełnie inaczej. Tak się też nazywało dotąd w kodeksie kobiet przeszłości—tych właśnie niewolnic, tych dzisiaj pogardzonych, lekceważonych — tych które były matkami naszemi, których nocne czuwania, ofiary i poświęcenia życia całego dla dzieci, jednały nieraz z życiem zgorzkniałych sceptyków, przywoływały upadłych do obowiązku, i stanowiły niezaprzeczenie najwyższy tryumf człowieczeństwa.

Trzeba tedy było tego wszystkiego nie zaznać, nie doświadczyć i nie ocenić—trzeba się było chyba w domu podrzutków wychować, żeby powiedzieć, iż dla dwojga ludzi zakładających rodzinę, potrzeba tyle tylko wzajemnej skłonności, wiele jej wymaga związek dwóch tak zwanych przyjaciół. Wolności indywidualnej dla jednej i dla drugiej strony — wolności bez ograniczeń! — woła kobieta przyszłości, jakgdyby naprawdę nie była w stanie zrozumieć, że ta wolność każdemu była i jest miłą i że ci, którzy jej się zrzekali, czynili to dobrowolnie na rzecz dzieci i dla ich dobra wyłącznego.

Wolno kobiecie dzisiejszej powiedzieć, że nie widzi dla siebie szczęścia w związku małżeńskim, wolno jej pozostać na uboczu i nie ma ona w istocie w takim razie nic lepszego do zrobienia, jak trzymać się zdala od życia, bo nie znalazłaby tam szczęścia dla siebie, nie dała go nikomu, a dzieci nie wychowałaby wcale, albo co najwyżej wychowała na dziwolągi, ale niechaj nie próbuje wmówić światu, że w tem jest jej wyższość, bo świat wie jak nazwać tę wyższość. Nazywa sobie też to terminem, nie tak znowu zaszczytnym, aby się o niego dobijać było warto.

I oto sposób, w jaki znowu przegrywać zaczyna kobieta sprawę swoją.

K.

Juliusz Leyer.

Zdrada w domu Han.

Legenda Chińska.

Przełożył z oryginału

MIRIAM.

We wszystkie strony rozpościerała się bez końca żółta pustynia, spragniona w skwarze słonecznym, a nad olbrzymią wydmą gromadzącego się piasku wystrzelała mogiła, obsadzona pistacyami i sosnami — zielony cud. W cieniu mdlejących z upału drzew odpoczywała gromada wygnańców pierzchających do schroniska w górach dalekich. I jeden z mężów tych o posępnych obliczach i posępniejszych jeszcze sercach rzekł: „Kto też śpi tu pod samotną mogiłą? Byłże los jego równie gorzki jak nasz?"

Wówczas powstał mąż inny z pośród smętnych pątników. Twarz jego była poważna i zadumana, ale koło ust błądził mu uśmiech marzący, a czar niewysłowionej tkliwości płynął mu z oczu. Był pieśniarzem, ale z tych, którym pieśń w piersi zastygła, bo głęboki żal był mu w duszy wszystkie struny potargał. Mąż ten odpowiedział: „Opowiem wam, kto tu śpi, a przez czas opowiadania minie skwar dnia, i udamy się potem w dalszą drogę. Słowa moje będą jak wietrzyk, który śród drzew przewiewa — powstaje, mija i nie zostawia śladu po sobie; zaiste, zanim tchnienie jego odumarło, zapomniałeś, że wiał. Ale orzeźwił cię jednak na chwilkę. Chcę być jako chłód tych drzew; odpoczniecie z upału i smutku przy szmerze ich liści i mych słów."

I chórem zawołali mężowie: „Opowiadaj!" a jeden z nich dodał: „Szczęściem najwyższem jest być odkupicielem, bądź przynajmniej pocieszycielem na chwilę, poeto, pocieszycielem tych, dla których niema odkupienia!"

Poeta westchnął smutnie jak wiatr pustyni, zadumał się nad tem słowem, potem przesunął ręką po czole i zaczął opowiadać:

* * *

Oczy mandaryna Kutaju można było porównać do liści drzewa hoai: czarne, jak one, zamykały się ze znużenia w dzień, a otwierały, jak one, w nocy, gdy Kutaju, wymknąwszy się z miasta, po ciemno-modrych falach rzeki do ogrodów swych jechał. Im bardziej zbliżał się do nich w swem pozłocistem czółenku, którego wiosła wyrzezane ze słodko pachnącego drzewa, w dwójnasób woniały, trąc się o jedwabne przytrzymujące je powrozy, tembardziej źrenice rozszerzały mu się zadowoleniem, a błyskały wprost radością, gdy czółno wreszcie z głębokich wód, zwinnie jak ryba, w wązki wbiegało kanał, wiodący do samych schodów domu. Kanał przewijał się, przez mroczny gaj sandałowy, jak srebrny wąż, drzewa tworzyły nad nim ciemno-zielone sklepienie, a na brzegach drewniane, pstro malowane potwory wyszczerzały w półmroku srebrne i złote zęby z szeroko otwartych paszcz, w które jaśminy swe upojnie pachnące kwiatki, a magnolie swe śnieżno-lśniące kielichy roniły. Łódka przybiła i Kutaju wysiadł. Noc już była zupełna. Niebo z gwiazdami wydało mu się indygowym smokiem ze złotą łuską, a płynący księżyc zrobił na nim wrażenie perły ognistej, która wyleciała z głębokiej gardzieli niezmiernego nieba-smoka. Lekki powiew igrał ze spuszczonemi zasłonami w otwartych oknach domu, jako z białemi obłokami, i łagodnie kołysał długie łańcuchy lampionów, ciągnące się od gałęzi do gałęzi przez nieskończone drzew aleje. Kutaju, stanąwszy na progu, obejrzał się raz jeszcze. Wszędzie było cicho, wszystko stało bez ruchu, tylko cienie oblanych księżycową poświatą kwiatów przesuwały się wolno tu i owdzie na lśniąco białych marmurowych płytach tarasu, przypominając omdlałe, rozkołysane korowody pięknych tanecznic.

Kutaju chciał wejść — wtem ktoś padł mu do nóg. Strwożony cofnął się, wnet potem wszakże sam padł na kolana i wzniósł w górę ręce Poznał przed sobą posła od cesarza, który bawił właśnie w obozie. Poseł włożył mu w wyciągniętą rękę rozkaz cesarza, napisany na żółtym jedwabiu, a Kutaju, zbliżywszy się do światła lampionów i skłoniwszy się po siedmkroć głęboko, otworzył list jedwabny i czytał:

„Tkliwością drgające śpiewy ptaka yng płyną jak upajający zmysły aromat przez ogrody, gdzie nad lazurowem połyskaniem wód zgięte wierzby potrząsają bladem złotem młodego liścia — powróciła wiosna i jej upojenia! Obłoki woni powstają z mórz brzoskwiniowego i gruszkowego kwiecia, bielszego niż księżyc śród nocy, falują przez gałęzie aż do najwewnętrzniejszych komnat w pałacach szczęsnych, a łuny ożywczej światłości wdzierają się przez jedwabne zasłony do wnętrza złoconych kiosków i pocałunkiem wiosny budzą młode krasawice ze snu do błogich snów miłości... Tak, radość przejmuje serca wszystkich—tylko serce pana twego trapi się w samotności i smutku Jak żmija ogromna o niezliczonych głowach leży przede mną tabor Tatarów, chmura żółtego pyłu unosi się nad nim nieustannie, jak dym wychodzący z gardzieli zgubnego wulkanu, a za każdem poruszeniem fatalnej potwory padają całe szeregi najlepszych mych bohaterów. Teraz wbiła już tatarska żmija jadowite swe żądło aż w serce serca mego — wiedz, żeśmy porażeni i że chan panem losów naszych. Od niego zależy, kiedy świątynie nasze i pomniki drogich przodków w gruz padną! Jedno jego skinienie, i czarnowłosy lud ukorzy się przed nim i czołem w proch uderzy! Jakże nie mam z żalu umrzeć? Ale dość gorzkich łez i bolesnych wykrzyków; słuchaj teraz, co ci każe pan twój, o stary i wierny sługo domu Han. Pamiętasz dziada mego i to, co on zwał „sądem motyli?" Za młodych lat swych, wychodził co rok w onej dobie, gdy dźwięki głosu ptaka yng upojenie w sercach budzą, do gaju drzew cynamonowych. Miłował cynamonowiec nad wszystkie rośliny, nazywał go drzewem królewskiem, ponieważ nie rośnie w towarzystwie innych drzew, i tylko między braćmi swymi w zimie i w lecie równie zieloną głowę dumnie ku niebu wznosi. Zbudował sobie w tym gaju tron darniowy pod sprężystemi, aż do ziemi zwieszonemi gałęźmi starego cynamonowca, w którego koronie ptaki, lśniące jak meteory, gniazda sobie robiły, i co rano, gdy zorza obłoki na wschodzie różami i promieniami przetykała, tak, że wyglądały jak atłasowe ściany namiotu smoka królewskiego, zasiadał na zielonym swym tronie ze złotą czarą w ręce, dawał wonnej rosie dżdżyć w nią kroplami, a potem przychylał czarodziejski ten napój wiosny i młodości, sam usta w nim zwilżywszy, do ust onej z dziew, którą „sąd motyli" za najpowabniejszą był uznał. Tak święcił zaślubiny swe. Sam opowiadałeś mi o tem często, i przeto rozkazuję ci, uczyń za mnie cobym uczynił, gdybym teraz w pałacu swoim był: otwórz lazurowe wrota złotych sal, w których zacieniu skarby krasy i tkliwości, nie oglądane dotąd przez moje oczy, tęsknią daremnie; otwórz wrota pałacu i daj sądzić motylom. Potem weź dwa arkusze lekko pachnącego papieru i napisz na jednym imię tej, którą „sąd motyli" za królowę wszech uzna. Gdyby znalazł się w ogrodzie niebiańskich piękności kwiat bez barwy i woni, dziewczę, któremi motyle i własne oczy twoje wzgardzą, jako niegodnem spojrzenia miłości i żaru żądzy, napisz imię tej nieszczęśliwej na drugim arkuszu. Niechaj poseł twój rychło się stawi w mym namiocie. Tak rozkazuje ci syn słońca, twój pan i cesarz Juenti."

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Józef Weissenhoff.

ŻYWOT I MYŚLI
Zygmunta Podfilipskiego.

SPRAWOZDANIE.

„Podfilipski" zrobił skutek szmermela puszczonego między ludzi zaspanych. Czyta się go jak powieść, a zmyśleniem nie jest; zostawia po przeczytaniu smutek dojmujący, a paszkwilem go nazwać nie wolno; przedstawia postać fikcyjną rzekomo, a zda ci się żeś tę postać widział przed chwilą, że ją ujrzysz jutro—że o niej słyszeć będziesz długo jeszcze—oby nie do kresu dni twoich!

Roi się od Podfilipskich, jak widać, w chwili, którą nam przeżywać sądzono. Tolerowani w życiu—ba! gdybyż tylko tolerowani - gniewają w literaturze — gniewają jak prawda—jak obelga rzucona w oczy – jak wyrzut sumienia—kto winien temu?

Kiedy przed trzydziestu z górą laty napisał jeden z ówczesnych młodych pisarzy powieść zatytułowaną „Starzy i młodzi," w której dużo było złośliwej insynuacyi wymierzonej przeciw sferom uprzywilejowanym, wielka ówczesna powaga literacka powiedziała mu w swoich „Drezdeńskich Rachunkach," że on ten świat zna z przedpokojów tylko...

Ile w tem było prawdy, wchodzić nie chcemy, to fakt jednakże, że się od Podfilipskiego takim tanim kosztem odżegnać będzie nie sposób, tym, których on gniewa. Ani rusz! Ani pomyśleć o takiej odprawie dla autora tego studyum obyczajowego.

Czy Zygmunt Podfilipski taki, jakim go biograf jego Imć Pan Jacek Ligęza pamięci ogółu przekazuje, jest wyłączną własnością sfery przywileju, która, powiedzmy to nareszcie, gniewa się właśnie? Czy z niej wyszedł istotnie?

Zaczniemy od drugiego pytania, odpowiadając na nie twierdząco Tak jest! Klassy zbytkujące dały społeczności ten typ—to jest fakt niezbity. Tam on się zrodził i tam wypielęgnowano go niby mikroba w drodze kultury odpowiedniej. Bez próżniactwa, bez oportunizmu w przekonaniach, bez atmosfery starannie oczyszczonej z ideałów życiowych, bez pogardy dla świata myśli, uczuć, i dla ducha ofiary, gatunek Podfilipskich nie byłby powstał. Tego zarzutu nie odeprzeć sofizmatem żadnym, bo to nie jest do odparcia. Może się gniewać, komu to niemiłe, ale sprawy to nie zmieni wcale.

Czy stanowi on wyłączną własność tych ojców swoich duchowych, to inne zupełnie pytanie, na które odpowiemy także wprost:

Stanowił przedwczoraj jeszcze — dzisiaj nie stanowi już niestety! Obniżenie całości nastroju życiowego warstwy średniej—dotąd surowej i nadającej potokowi życia kierunek faktyczny, pozwoliło Podfilipskiemu rozrość się u góry, i zstąpić o stopień niżej zarazem

Wszechwładny tam, głębiej zapuścił ten typ korzenie w organizm społeczny. To wszystko stało się w oczach naszych. Oddziaływanie na siebie wzajemne dwóch światów—przywileju i pracy, mimo pozornej linii demarkacyjnej, istnieje niezaprzeczenie. Gdyby nie zrobiło się tak pobłażliwie i tak bezbarwnie u dołu, nie byłoby tak wesoło, a raczej tak smutno u góry. To także jest jedną z prawd przykrych bardzo dla tych, których dotyczy— niemniej prawdą jest niewątpliwą. Ten przypuszczony dzisiaj do równości kompars, wczoraj jeszcze był intruzem zaledwie u góry, a bezwzględną niemożebnością w sferze pracy i intellektualnego przodownictwa.

Płoszowski byłby się był od niego odwrócił z uczuciem odrazy—ojciec Płoszowskiego byłby mu drzwi przez lokaja pokazał z pewnością. Stało się inaczej za wolą losu. Dziś żyje, potrąca, świeci... kwitnie, jak powiada jego entuzyastyczny wielbiciel Jacek Ligęza. Pozwólmyż temu ostatniemu opowiedzieć w treści o tym, dla którego w naiwności swojej proponuje pomnik z napisem:

„Umiał sobie życie urządzić"

Jeszcze też z tego nie zrobiono dotąd człowiekowi zasługi. Epoka, w której to możebnem się staje, musi być dziwną epoką.

Dajmy jednak pokój tymczasem uwagom ogólnym. Idźmy za duchem sprawozdania p. Jacka Ligęzy. Może tam na końcu coś od autora i od siebie także będziemy mieć do powiedzenia.

Do Podfilipskiego Zygmunta stan średni przyznawać się niepotrzebuje. Jak twierdzi Ligęza, Podfilipscy Pilawici już w XVI stuleciu mieli krzesła w senacie. Karmazynem tedy on jest niewątpliwym, i o to zkąd wyszedł, sporu być nie może. Powoli czy nie powoli wyprzeć się go tam nie można.

Zygmunt i Tomasz bracia Podfilipscy przyszli na świat już w rodzinie małej zamożności. Tomasz odbywał karyerę przygotowawczą dosyć normalnie, Zygmunt kształcił się dowolnie zupełnie, a zawsze ekscentrycznie. Nigdzie nie był dłużej, żadnego przedmiotu nie studyował do gruntu — o patenty i dyplomy nie starał się. Już wtedy mówił, że rozumie życie tylko w najwybujalszych okazach, przytem czuł się godnym wszelkich przywilejów fortuny, a gdy mu los odmawiał czegokolwiek — gdy spostrzegł, że coś jest nie dla niego, oburzało go to niezmiernie.

Daleko prowadzą niekiedy gniewy podobne. Jakim sposobem zdobył pierwsze środki—niewiadomo, to pewna, że w Warszawie ukazał się około roku 1876, zbrojny już niepoślednią znajomością życia, pewnością siebie niczem niezamąconą, i jakimiś kilkudziesięciu tysiącami rubli. To stanowiło na początek arsenał jego środków zaczepnych.

Jedno z pierwszych jego posunięć na gruncie swoim było niefortunne zupełnie. Zażądało mu się ręki osoby młodej, wysoko urodzonej, ale ani pięknej, ani posażnej, i tu spotkał się z rekuzą, po której pozostała mu gorycz, i której zawdzięczał wiązkę aforyzmów; w pierwszym rzędzie był ten: „serce to osioł pierworodny, który tkwi w każdym z nas." Mówił też, że zwalczanie tego osła jest obowiązkiem, rozumie się zawsze względem samego siebie, i niewątpliwie jeśli niegdyś posiadał jego embrion jaki chociażby, to go zwalczył, zabił i prochy nawet rozwiał po świecie. Prawdopodobniejszem jest jednakże, że opowiadał o rzeczy, która nie istniała.

Dawniejszą znajomość odnowił z nim pan Jacek Ligęza w wagonie kolejowym idącym do Lublina. Biadał bardzo, że w tem mieście tylu spotkać będzie musiał kompatryotów, a nie zachwycają go wcale kompatryoci—oh nie! Pastwi się w opowiadaniu swojem nad francuzczyzną parafianek, boleje nad urządzeniem domów szlacheckich i dochodzi do smutnego wniosku, że w takim kraju jak ten, nieboszczyk Zabłocki na mydle stracić musiał koniecznie, bo naprawdę tutaj nikt się nie myje. „Ach, ci ludzie tutejsi! O co im chodzi? — czy wiedzą oni to sami? Nie jesteśmy narodem i w znaczeniu nowożytnem nie byliśmy nim nigdy. Jesteśmy zbiorem pojedynczych ludzi. Niechaj każdy z nas (mówiąc rozumie się o warstwach wyższych) stanie się bogatszym, oświeceńszym, wytworniejszym, a zyskamy przed sobą tę rolę, którą mieli Grecy w państwie rzymskiem. Człowiekowi jak on dziwić się nie można, że w tym kraju żyć nie może. Tacy jak on muszą słuchać pulsu świata tam, gdzie bije najpotężniej. Ale jeśli idzie o zrobienie ofiar dla kraju, toć przecie nikt mu nie zarzuci, żeby on ich nie robił. Umieć naśladować narody cywilizowane, to szczytny ale trudny obowiązek. Wprowadził do kraju kapitał obcy — wiedzą o tem wszyscy, zresztą budzi do życia, otwiera oczy przykładem własnym, drwinami — czem może. Na torze warszawskim miewał dotąd tylko po parze koni, ale *stada poważnego* nie stworzył dotąd. Ale on to zrobi — on wie co jest winien krajowi. Tor warszawski musi mieć takie przynajmniej stanowisko, jak wiedeński. On to powiada — on, który zna konia tak jak człowieka." Imponuje Ligęzie doborem przyborów toaletowych i wytworem garderoby, którą zmienia w wagonie, a przekonywa, że to wszystko jest tylko hygieną doprowadzoną do artyzmu. Ekstaza pobożna Ligęzy nie kończy się w wagonie, ale bo też ten Podfilipski jest genialny—tak sobie umieć urządzić życie to prawdziwa zasługa. Jakiż on odmienny, a wyższy pod każdym względem! Podają naprzykład w hotelu potrawę jakąś przy śniadaniu. No, niby nie zła ona jest, ale to dla ludzi tutejszych—dla Podfilipskiego, który *umie jeść*, jawnem jest, że kucharz mógłby wyjść na człowieka, ale mu potrzeba kierunku. Każe go tedy wołać na salę, tłómaczy zdumionemu tajemnicę stworzenia arcydzieła, i olśnionego żegna protekcyonalnem kiwnięciem głowy.

Obecny w sali drobiazg szlachecki dziwi się. Ach jak on umiał urządzić sobie życie— jak on jeść umiał! A na wszystko co robił, miał teoryę gotową i aforyzm w dodatku—nie jakiś powtarzany, cudzy, ale aforyzm własny, po polsku powiedziany wprawdzie, ale można mu i to nawet darować, bo duchem taki nie tutejszy.

Obiaduje naprzykład w Monte Carlo z tym nieudolnym epigonem swoim Ligęzą. Restaurator znający polskiego pana oddawna, korzy się przed nim, a mimo tej pokory proponuje mu, aby przypuścić raczył do swego stołu dwie biesiadniczki siedzące opodal — jedna z nich, starsza, jest z „Folies dramatiques," druga niewiadomo zkąd, ale bardzo ładna. Obiad jest rozkoszny, a po nim daje Podfilipski swemu katehumenowi znowu jedno z tych wskazań, których się nie zapomina przez życie całe. „Z dwóch kobiet półświatowych możesz złożyć jedną światową— innych różnic niema." Ligęza dziwuje się, że on tego kwantitatiwnego rozróżnienia nie rozumiał dotąd. Ale bo też tamten znał kobiety — znał jak nikt. „Tylko słabsze indywidua męzkie zajmują się losem kobiety — jej przyszłością"—mówił do Ligęzy innym razem po uczcie u bliskiej Podfilipskiego znajomej, niejakiej pani Darnowskiej z domu Falb i dlatego używającej w sferze arystokratycznej męzkiej połowy, przydomku Falbanki. Ucztują tam ludzie, przepędzają czas nader przyjemnie, bo to kobieta, którą *formuje* Podfilipski. Mąż porzucił ją i pojechał do Ameryki, on w chwilach najcięższych dla niej zwrócił na nią uwagę. Ta Falbanka, to jeden z powszechnie znanych jego dobrych uczynków. Podfilipski powiada, że jest to najlepsze w świecie stworzenie, a co do jakichś tam przesądów o gniazdach rodzinnych, o stanowiskach wyraźnych lub mniej wyraźnych, to są oczywiście frazesy. Robił dla niej co mógł i co był powinien, a jak zachorowała na ochotę do pracy, czy jak ją tam jakieś skrupuły chwyciły, no, więc ją polecił braterstwu swemu na nauczycielkę do ich dzieci. Niechaj każdy robi dla ludzi tyle co on robił. Nie o jednym też jego dobrym uczynku wspomina Ligęza, a i my za Ligęzą idąc wspomnimy także. Bo i ten naprzykład stosunek Podfilipskiego z bratem. Ten Tomasz, to może i dobry człowiek i nie bez zdolności nawet, ale niezdara. Ducha interesów nie zrozumiał wcale, i raz nawet zepsuł bratu pod jego nieobecność interes na 30,000 marek. Tłómaczył się, że on nie zna godziwych zarobków tej wysokości w jednej godzinie realizowanych. Albo i to ożenienie jego. Przecież to nie miało sensu zdrowego. Zaprzepaścił się w młodej osobie, niejakiej pannie Alinie Wyżewskiej, no, prawda że pięknej, prawda że szlachetnej bardzo kobiecie, ale fortuna po śmierci rodziców skompromitowana bardzo — niewiadomo było czy się z tego da coś wyrobić. No, ale jak po śmierci matki ona przyrzekła mu nareszcie rękę, jak ten sentymentalny Tomasz przyszedł do niego i zaczął się rozczulać, opowiadając mu takie ckliwości naprzykład: „Ona, to nie moja miłość ale moje życie. Gdyby mnie odrzuła, jabym i tak..." No cóż—zgodził się, a nawet dla wydźwignięcia zagrzęzłej w długach majętności, poświęcił swoje 75,000 rubli, pomimo, że bardzo bogatym nie był jeszcze podówczas. Ostatecznie albo się jest bratem, albo się nim nie jest. Wiedzieli to ludzie i cenili jak należy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA.

Szkoła i wychowanie.

Według danych statystycznych, które zebrał Magistrat warszawski, 75 procent kandydatów do tutejszych szkół miejskich nie znalazło w nich pomieszczenia. Z tego powodu oprócz nowej szkoły czteroklasowej miejskiej, która będzie otwartą z początkiem nadchodzącego roku szkolnego, otwarte będą jeszcze dwie szkoły miejskie trzyklasowe z kursami rzemieślniczymi. W budżecie miejskim przeznaczono na ten cel kwotę 13,550 rs.

Jak słychać, właściciele kopalni zagłębia Dąbrowskiego, czynią starania w sferach właściwych, aby politechnika warszawska miała i wydział górniczy. Utrzymują, że są widoki pomyślnego rozstrzygnięcia sprawy.

W sprawie pomieszczenia politechniki przedstawione zostały do wyboru władzy trzy posesye miejskie, a mianowicie: 1) Gmach magazynu Bankowego przy zbiegu ulic Nowogrodzkiej i Nowowielkiej, 2) Pałac rodziny Kronenbergów przy rogu ulic Królewskiej i Mazowieckiej położony i 3) Zabudowania po dawnej fabryce tytoniu „Union“ przy ulicy Marszałkowskiej, zajęte dzisiaj przez wojsko. W każdej z trzech wymienionych nieruchomości potrzebne przeróbki mogą być zdaniem znawców dokonane przed rozpoczęciem nadchodzącego roku szkolnego.

Ministeryum Oświaty zatwierdziło w ostatnich czasach następne zapisy stypendyalne: *ks. Alojzego Szczepańskiego* w sumie rs. 16,000, od których odsetki przeznacza testator dla uczniów niezamożnych gimnazyum w Kamieńcu pochodzenia polskiego, celujących w naukach, wyznania rzymsko-katolickiego. *Juliana Zubkowicza* w summie 5,000 rs., od których procenty przeznaczone są dla ucznia niezamożnego I go gimnazyum w Kijowie z zastrzeżeniem, aby stypendysta mieszkał prywatnie—nie w pensyonacie. *Złożone przez nauczycieli gimnazyum* męzkiego w Kielcach w kwocie rs. 1,000 dla ucznia tegoż gimnazyum w warunkach wyszczególnionych w akcie darowizny.

Do upowszechnienia.

P. J. Olechnowicz w liście pisanym z Tomska do „Kuryera Warszawskiego,“ ostrzega mieszkańców Królestwa Polskiego, aby bez widoków powodzenia nie przedsiębrali podróży na Syberyę, w przekonaniu, że tam o znalezienie stanowisko bardzo jest łatwo. Pan O. utrzymuje, że główną przyczynę stanowi mniemana obfitość posad wakujących przy budującej się kolei Syberyjskiej. Właśnie te złudzenia stara się rozwiać autor listu, przedstawiając stan rzeczy w właściwem świetle. Otóż co do tych posad rzeczy mają się tak: W roku ubiegłym zarząd eksploatacyi kolei Środkowo-Syberyjskiej odebrał 2,000 podań o posady, podczas gdy rozporządzalnych różnego rodzaju wakansów było niespełna 500. O miejsca na tej drodze jest tem trudniej, że w liczbie kandydatów do posad liczą się i zesłańcy, między którymi znajdzie się znaczna liczba ludzi uzdolnionych i zasługujących na poparcie ze wszelkich względów. Wobec tego pewna liczba ludzi, którzy licząc na pewne powodzenie porzucili tutaj stanowiska względnie nawet korzystne, po wielu trudach zdobyła sobie miejsca o wiele gorzej płatne, niż te, którymi wzgardzili w domu własnym, inni wyszli gorzej jeszcze, ogołociwszy się bowiem po dłuższem wyczekiwaniu ze wszelkich zasobów, zmuszeni byli udać się do ofiar publicznych dla otrzymania funduszu na drogę z powrotem do kraju. A zatem ostrożnie, bacząc na starą bajkę Ezopa o psie, który niósł mięso przez rzekę i widział jego odbicie w wodzie.

Sprawy społeczne.

Od Warszawskiego Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego odbieramy zawiadomienie tej treści: Zarząd Towarzystwa przeniósł się z miejsca dotychczasowego pobytu przy redakcyi „Gazety Rzemieślniczej“ do stałego lokalu przy ulicy Krakowskie Przedmieście nr. 87. Instytucya licząca obecnie 600 członków, urządziła biuro i rozwinęła całkowitą działalność swoją, a mianowicie: 1-o Przyjmuje w dalszym ciągu zapisy na członków i udziały członkowskie całkowite albo w ratach częściowych; 2-o Przyjmuje wkłady t. j. oszczędności w sumach dowolnych i na różne terminy; 3-o Udziela członkom swoim pożyczki do wysokości przez ustawę przewidzianej. Biuro otwarte codziennie od godziny 9 rano do 3 po poł.

Tani i łatwy kredyt, oraz dogodny sposób lokowania oszczędności, wobec przywilejów, jakie ustawa członkom nadaje, powinny zachęcić publiczność tutejszą do brania udziału w tem pierwszem Warszawskiem Towarzystwie zorganizowanem na podstawie wzorowej ustawy dla drobnego kredytu.

Radę Towarzystwa składają: Hoch August prezes, członkowie: Czajewicz Aleksander — Granzow Kazimierz — Kolitowski Adam — Noskowski Piotr — Wolff Robert.

Członkowie zarządu: Supronowicz Józef — Machleid Ryszard — Urbanowicz Józef — Tworkowski Józef — Berndt Adam.

Dobroczynność.

Na posiedzeniu opiekunek przytułków sierot dziewcząt Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, odbytem w pałacu Arcybiskupim, obradowano nad budową domu, mającego stanąć za rogatką Mokotowską dla pomieszczenia przytułku głównego. Panie opiekunki otrzymały książeczki upoważniające do zbierania na ten cel ofiar dobroczynnych.

Dla gospodyń naszych.

Domorośli ekonomiści nasi z wielkiem upodobaniem opowiadają zawsze o korzyściach, jakie ciągną społeczności ze swoich klas zbytkujących. Mówi się wtedy o zyskiwaniu ludzi pracy na rozrzutności — o zdobywaniu przez jednych tego, co rozpraszają inni, i Bóg wie nie o czem jeszcze. Ale co przemilcza się statecznie przy rozwijaniu tej karkołomnej teoryjki, to rozdział traktujący o moralności tych podejmujących okruchy rozrzutników, a my ten wzgląd, rzekomo uboczny, uważamy jako rzecz dla dobra ogólnego wcale nie drugorzędną i właśnie pewnym świeżym epizodem, wziętym z naszego życia domowego chcieliśmy służyć dzisiaj czytelniczkom naszym, w przekonaniu, że bez interesu dla nich to być nie może.

Otóż w jednym z zamożnych dosyć domów w Warszawie pozostawał w służbie od lat dwóch lokaj. Obowiązek swój znał, był akuratny, prezencyę zastosowaną do profesyi miał należytą, a że dom był nie nadto wymagający w żądaniach, więc o niezadowoleniu obustronnem zdawało się, że mowy być nie może tembardziej że wynagrodzenie służącego było znaczne. Można sobie wystawić zdziwienie pana domu, kiedy w zeszłym tygodniu ten służący najniespodziewaniej zażądał uwolnienia. Naciskany zapytaniami o przyczynę, odpowiadał wymijająco, ale nareszcie zdecydował się mówić szczerze, a że nadto nie był jak widać człowiekiem do wykrętów nawykłym, więc dowiedzieli się chlebodawcy jego rzeczy istotnie wielce ciekawych. Właściwie mówiąc, on tak bardzo służby nie potrzebował; ubogim nie jest, bo ma nawet swój domek własny na Pradze, gdzie mieszka jego żona i dzieci. Im tam jest dobrze, ale on... onby nie mógł poprzestać na sposobie życia, do którego oni nawykli, bo on przez długoletnią służbę zrobił się dosyć wybrednym, i sam przekonywa się teraz, że dawnego trybu życia wyrzec się nie byłby w stanie. Gdybyż nie to jedno... Co jemu ostatecznie tutaj brak? Nic—zupełnie nic. Obejście ma tak dobre, że lepszego nie zaznał nigdy, grymasów, wymagań, uciążliwości żadnych, tylko jedna ta kuchnia tak mało urozmaicona i taka zwyczajna—z tem jednem pogodzić się on nie może. Prawda, że dostaje wszystko ze stołu państwa, ale on się już bez kawioru, homarów, koniaku dobrej marki, i win odpowiednich, jak sam widzi, obejść nie potrafi. Myślał że nie zatęskni za tem, a tymczasem czuje, że to dla niego niezbędne. Dwadzieścia lat blizko przesłużył w domach bogatych... żydów... i teraz widzi, że trzeba będzie wrócić tam. On wie, że to zkąd inąd nie będzie to samo co tutaj, bo to i markotnie nawet takiego tam jakiegoś... Panie odpuść, nazywać panem, ale cóż robić!

Dobre? Wszak prawda? — tem lepsze, że za autentyczność faktu poręczyć możemy.

Pro memoria.

Wraz z nadchodzącą porą wiosennego sezonu wyścigowego, przypominamy czytelnikom obowiązek przyjścia w pomoc instytucyi dźwigającej na barkach swoich brzemię reprezentacyi najżywotniejszych spraw krajowych. Nie widzimy zaś korzystniejszego sposobu polecenia ich pamięci tego dzieła godnego poparcia, jak przedstawiając wzrastającą z rokiem każdym skalę działalności członków, i czynny zarazem współudział, jakiego użycza jej stale kontyngens złożony z przedstawicieli warszawskiego świata i półświata. Otóż w ubiegłym roku dochody Towarzystwa wyścigów konnych wyniosły 432,391 rubli, rozchody zaś 423,257 rs. Że zaś za programy, bilety wejścia i... wpływ totalizatora wyniósł 330,281 rs. więc chyba nie ma prawa komitet oskarżać o obojętność tych, którzy dzielą jego zapatrywania na sposób służenia sprawie publicznej.

A zatem do dzieła! Przecież w tyle za Europą zostać nie możemy. Gdyby zaś komu ze szczęśliwych uśmiechnęła się fortuna (co jak twierdzą świadomi dosyć rzadko się przytrafia), może taki zechce przypomnieć sobie o niedoborze komitetu Towarzystwa kolonii letnich w Warszawie, który odmówił wysłania na świeże powietrze rodzicom 2,000 chorych dzieci i o takimże niedoborze komitetu kolonii letnich w Łodzi. Ten ostatni podaje w sprawozdaniu swojem za rok ubiegły, iż dochody jego wyniosły w tym okresie czasu rs. 6,200 a wydatki 4,229 rs. Wysłano tam na kolonie letnie 395 dzieci chorych, a odmówiono podobnie jak w Warszawie drugiej takiej samej prawie ilości t. j. 340.

Są to, jak widzicie czytelnicy sami, pozycye dosyć skromne, to też naznaczyliśmy im w tej rubryce potrzeb naszych miejsce drugorzędne i polecamy je uwadze waszej o tyle tylko, o ile wam ta pierwsza część obowiązku, o której powyżej powiedziano, na to zezwoli.

Teofil Pycz. Miodowa 4. Odnawianie i reper. wyrobów platerowanych i bronzowych.
819—50—9

Lek. Den. **Marya Linda,** Marszałkowska 95.
724—20—14

Lekarz-dentysta Frejdkin, Senatorska Nr 28 lub 30 (gdzie „Kuryer Poranny“) od 10—6.
731—26—15

Lekarz-Dentysta Aleksander Zawadzki, Aleja Jerozolimska 49, róg Marsz. od 9—2 i od 4½—6
761—25—12

Dentysta L. GOLDBERG, Marszałkowska 94.
755—24—12

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Bracka 13. Meble bambusowe „MAISON NIPON" Najtańsze i najładniejsze. Bracka 13

JAN GRUCZYŃSKI i S^KA

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 7.

polecają na sezon wiosenny:

WEŁNY na suknie, kostyumy i okrycia z najcelniejszych fabryk krajowych i zagranicznych.

JEDWABIE czarne i kolorowe na suknie i bluzki.

próby na żądanie wysyła się gratis i franco. 860—20—2

GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 55.

POLECA NOWOŚCI NA SEZON WIOSENNY I LETNI:

Zefiry. Batysty. Płócienka. Satyny. Kretony. Dryliszki na ubrania męzkie, dziecinne i na liberye.

Wyroby pończosznicze. Bielizna gotowa damska i męzka.

Płótna. Bielizna stołowa biała i kolorowa. — ***Kołdry letnie flanelowa.***

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

855—8—2 **Próby i cenniki odwrotnie franco.**

Chmielna 47, m. 3.

Sprzedaż gruntów na letnie mieszkania:

Wołomin i Czarna kolej Petersburska.
Chylice i Skolimów, kolej Wilanowska.
Żerań nad Wisłą, przy szosie do Jabłonny.
Pruszków, przy warsztatach kolei W. W.
Grodzisk, między trzema fabrykami.
Choszczówka, kolej Nadwiślańska. 8 5 - 10—1

ZA GOTÓWKĘ i NA ROZPŁATY.

Przyjaciel Dzieci

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE

NAUCE i ROZRYWCE MŁODZIEŻY POŚWIĘCONE.

(Najstarsze w kraju).

W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część illustracyjna bogata i bardzo starannie opracowana.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. **1**, rocznie rs. **4.** Na prowincyi kwartalnie rs. **1** k. **25**, rocznie rs. **5.**

REDAKTOR i WYDAWCA

Jan Skiwski

Warszawa, Chmielna 26.

WIEDEŃSKA FABRYKA

Kapeluszy Słomkowych i Filcowych

838-6 6 **STANISŁAWA BERBIES**

Nowy Świat 59, w Warszawie.

Fabryka sprzedaje hurtowo i detalicznie, a także przyjmuje kapelusze do odświeżania i przefasonowywania na najświeższe fasony zagraniczne po cenach fabrycznych.

837—12—2

NA RATY

Lasy na letnie mieszkania i stacye klimatyczne oraz place podmiejskie.

Wypłata od 2—3 lat **drobnemi** ratami. Koleje: Nadwiślańska, Petersburska, Wiedeńska, Markowska, Wilanowska i t. p. Place na Woli i Pradze.

Wiadomość: **Nalewki 13 miesz. 5a, albo Nowy-Świat 30 miesz. 1 (kolonizacya).**

Illustrowany Przewodnik

po WARSZAWIE,

ŁODZI I OKOLICACH FABRYCZNYCH.

67 rycin, wielki plan Warszawy, plany teatrów, cyrku etc.



Cena egzemplarza w oprawie **15** kop.

z przesyłką pocztową rekomendowaną **35** kop.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

ORAZ

w Administracyi „Tygodnika Mód i Powieści".

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Z ramieniem podłożonem pod głowę, z włosami w nieładzie, z uśmiechem na ustach, marzył może o najwierniejszej z kochanek, która widząc go zmęczonego po bezsennej nocy, z wybladłą twarzą i podsiniałemi oczyma, nie byłaby zapewne targnęła się na jego spoczynek. Skałce w tej chwili co innego snuło się po głowie.

Otworzył drzwi z łoskotem, przystąpił do uśpionego i ująwszy go silnie za ramię, zawołał:

— Władziu! czas wstawać. Cóż to u miliona bomb! Kiedy ja myślę, że testament piszesz, ty chrapisz jakby za przebudzeniem śniadanie cię czekało.

Wilczek przemknął oczy, spojrzał na kapitana i ściągając powoli rozpierzchnione myśli, rzekł:

— Śniadanie powiadasz?.. już zamówiłem śniadanie; wczora, a raczej dziś rano, po powrocie z balu—na piętnaście osób. Opatrzność zesłała mojemu gospodarzowi olbrzymią jelenią pieczeń; kazałem ją przyrządzić tak, jak dają u Szwarcemberga.

Skałka nie wiedział, czy ma wierzyć własnym uszom.

— Co bredzisz o pieczeni? dla kogo?... kto ją będzie jadł?...

Wilczek wsparł się na łokciu i z uśmiechem zadziwienia spojrzał na kapitana.

— Jakto, dla kogo? przecież mamy dziś pojedynek.

— Przypomniałeś sobie nareszcie — cóż więc znaczyły koszałki, jakie mi plotłeś?

— Nic nie plotłem — mówiłem jak święty Jan Złotousty. Mamy dziś pojedynek, pamiętam wybornie, ależ pojedynek nie żadna rzeź; chciej mnie zrozumieć, jestto pojedyńcza bójka, gdzie dwóch lub trzech uczciwych ludzi daje przedstawienie kilkunastu widzom. Nadto, między tymi dwoma, jeszcze może się znaleść jeden taki, któremu zraz jeleniej pieczeni nie zaszkodzi, zwłaszcza, jeżeli kucharz należycie ją przyrządzi.

— Dość tego, dość! — przerwał Skałka — mniejsza o śniadanie; ubieraj się czemprędzej.

— Wcale nie mniejsza o śniadanie; jeżeli chcesz, abym się ubierał, musisz wprzód wysłuchać mojej ostatniej woli, którą w twoje ręce składam dzielny wojowniku.

Kapitan rzucił się w krzesło, wyciągnął nogi, wzniósł wzrok ku sufitowi, błagając Nieba o cierpliwość. Wilczek przybierając uroczystą postać i zawracając oczyma tak, że białka tylko słuchaczowi pokazywał, ciągnął dalej:

— Niedoścignione są wyroki boskie! I któż naznaczy chwilę, w której ma rozwiązać się zagadka jego życia? Prawy katolik wie tylko, kiedy się narodził i to jeszcze za pośrednictwem wiarogodnych świadków, metryki bowiem często bywają podrabiane. Ale najposłuszniejszy syn kościoła, uczeń najwięcej przynoszący zaszczytu naszym lwowskim OO. Jezuitom, nie potrafi z pewnością powiedzieć kiedy umrze. Samobójcom nawet w tym względzie nie można zupełnie zaufać, od czasu jak w Wiedniu takie panewki wynaleźli, że z dziesięciu, na połowie ledwo proch się zapala.

Kapitan targnął się na krześle; Wilczek uspokoił go wyciągając nad nim rękę, jak gdyby chciał go błogosławić.

— Owóż tedy, ja, Władysław hrabia Wilczek, rzeczywisty członek stanów galicyjskich, (widziałeś mój czerwony mundur ze złotemi szlifami), dziedzic Słomianki, Zawałowa, Końskiej-Woli, Chróścina, Zadniestrzan, etc., należąc do liczby ludzi nieprzewidujących, pomimo to przewidując, że który z zaciekłych huzarów może w dzisiejszem spotkaniu przeciąć mi jaką żywotną wenę lub arteryę, uznaję za rzecz przyzwoitą, złożyć ostatnią moją wolę w ręce obecnego tu Napoleona Bonifacego Skałki. Za pozwoleniem kapitanie; czy w istocie ochrzczono cię Napoleonem? zdaje mi się bowiem, że urodziłeś się w ostatnich latach panowania Ludwika XVI.

— Na mój honor! — przerwał zapytany — mogę to stwierdzić aktami urzędowymi, moim stanem służby, moją dymisyą.

— Dobrze więc; tym razem wierzę, jakkolwiek z trudnością mi to przychodzi. W ręce zatem Napoleona Bonifacego Skałki, byłego kapitana w 10-ym pułku huzarów Tólińskiego, kawalera — tak jest kawalera, przynajmniej w obliczu prawa, dymisyonowanego z pozwoleniem noszenia munduru—nie mylę się? chociaż nie widziałem, abyś kiedykolwiek niósł gdzie twój mundur.

— Mam go, daję słowo honoru! — zawołał Skałka—nie noszę bom wyrósł, na szerokość nie na długość, ma się rozumieć. Nowego sprawiać nie chciałem; porządny haft huzarski drogo kosztuje. Ale co nas te banaluki mogą obchodzić? Władziu, jeżeli masz trocha dla mnie przyjaźni, ubieraj się Czas leci, Węgrzy będą nas czekać, a ty siedzisz tymczasem na łóżku jak żyd na pokucie; przecież możesz razem ubierać się i rozprawiać. Oto słuchaj!—nakładam świeżą fajkę; z ostatnim jej dymkiem, jeżeli mnie cokolwiek kochasz, staniesz przedemną już ubrany. Mój Władziu, zaklinam cię; daj się uprosić.

— Amen — odrzekł Wilczek, co znaczy po hebrajsku: niech tak będzie; spytaj mojego ardarza; wpadłeś na szczęśliwy dzień—nie potrafię niczego ci odmówić. Hola!... jest tam, który?... kąpiel gotowa?

Na potakujący znak służącego Wilczek wyskoczył z łóżka i zsunął się do wanny, gdzie zabielona aromatami woda, przyjęła go w ciepłe swoje objęcia.

— Obrzydliwa teraźniejsza młodzież! — mruczał Skałka przez zęby; każdy co dnia musi płukać się i szorować jak kuchenny rądel.

— Słuchajże kapitanie—mówił Wilczek— i pal fajkę powoli, jeżeli chcesz, abym zadość uczynił twoim żądaniom. W razie mojej śmierci, pamiętaj przyprowadzić tu na śniadanie wszystkich towarzyszących pojedynkowi, nie wyłączając mego zabójcy. Jędrzeju, daj mi paryzką koszulę; jeżeli kiedy, to dziś należy szczególną uwagę zwrócić na bieliznę. Rachunek zapłaciłem naprzód; policzyłem po trzy butelki wina na osobę; zdaje się, że będziecie mieli dość. Niepotrzeba kamizelki; mniej kłopotu z rozbieraniem się na placu. W razie, gdybym nie mógł znaleźć się z wami, czyli wyraźniej mówiąc gdybym został ciężko ranny, lub co gorsza, zabity, wówczas Juliusz, natychmiast po zebraniu pieczystego ze stołu, wzniesie wielki kulawy kielich na moją pamięć i uczyni doń stosowną w tkliwych wyrazach przemowę. Daj mi na szyję lekką jedwabną chustkę; wywinę kołnierzyk. W tej przemowie, nie zaniedba wspomnieć krótko, ale dobitnie o moich obywatelskich cnotach, o nadziejach, jakie dla kraju wraz ze mną zstąpiły do grobu, o tem, czem byłbym mógł zostać przy szczęśliwych okolicznościach, i o tem, jak świat nie umiał mnie należycie ocenić; jednem słowem postara się słuchaczów zadziwić, wzruszyć i do przykładu zachęcić. Gdyby przypadkiem śród towarzystwa znalazł się jaki z moich hypotecznych krewnych, i żądał przeciw mowie nieobecnego tu Juliusza założyć protestacyę, takowy Filip z Konopi, ma być większością głosów skazany, na wypicie duszkiem karafki wody. Daj mi do kieszeni ranną czapeczkę; przeklęte włosy, za lada poruszeniem leżą mi w oczy. No cóż kapitanie?... spodziewam się, że nie nadużyłem twojej cierpliwości. Zewnętrzność moja jest już należycie przystrojoną; co do wewnętrzności, tę wkrótce także do równowagi przyprowadzę, racz tylko przejść ze mną do drugiego pokoju, gdzie spodziewam się, że pomyślano o rannej przekąsce.

— Może lepiej byłoby dać pokój — wtrącił kapitan, którego czoło wypogodziło się na te ostatnie wyrazy.

— Dać pokój, czemu?—zawołał z uśmiechem Wilczek, pojedynkowi czy śniadaniu? Wprawdzie słyszałem, że śniadania obchodzą się czasem bez pojedynku, ale pierwszy raz słyszę, aby pojedynek mógł obejść się bez śniadania. Dalej naprzód! nie bałamućmy. Jędrzeju, każ tymczasem zaprządz do kabrioletu siwego ogiera; John z tyłu za nami pojedzie. Służę ci kapitanie.

To mówiąc, obaj przeszli do jadalnego pokoju, gdzie czekało już na nich, według angielskiego obyczaju zastawione śniadanie z herbaty, mięs zimnych i hiszpańskich win złożone.

Wilczek podał filiżankę towarzyszowi, który natychmiast nieomieszkał dopomnieć się o rum, sam zaś wyciągnięty w krześle, z zadowoleniem prawdziwego sybaryty, jął poić się tym najmilszym dla nerwów napojem.

Wtem, gdy niósł herbatę do ust, prysło cienkie uszko i filiżanka padła mu u nóg, rozbita w kawałki.

Skałka drgnął gwałtownie, spojrzał przerażonym wzrokiem na przyjaciela z którego oczu, zdało się mu, że śmierć nagle wyjrzała. Wilczek uśmiechnął się niedbale i odtrącił nogą skorupy.

— Jak uważam — rzekł — idę na wyścigi z moim Jędrzejem; ten nie ma dnia, aby czegoś nie stłukł—mniejsza o to; doczekam, póki

cały tuzin się nie wytłucze, i wtedy dopiero nowy z Wiednia sprowadzę.

Nalał drugą filiżankę i spokojnie dopijał, gdy służący oznajmił, że konie już w pogotowiu. Wilczek wychylił duszkiem szklankę Madery, zapalił krótką fajeczkę, a podawszy ognia kapitanowi, wziął go pod rękę i sprowadził ze schodów.

— No cóż, czy nie prawda—rzekł, gdy stanęli na podwórzu, że w całym Lwowie nie znajdziesz konia, równego memu siwoszowi?

— Nie ma co mówić — odparł Skałka — czysta krew, jak w szlacheckiem dziecku. Na twojem miejscu kazałbym go anglizować.

— Barbarzyńco!—wykrzyknął Wilczek—otóż to pojęcia estetyczne, zakonserwowane z czasów Księstwa Warszawskiego! Mój koniuszy Błażej tę samą myśl mi podawał, dowodząc, że do kabrioletu koń z kusym ogonem daleko lepiej przystoi. Odpowiedziałem, że wolałbym jemu samemu uszy poobcinać, niż jeden włos stracić z ogona mego siwosza. Biedny Fox! wszyscy sprzysięgli na jego zgubę. John podaj lejce, a sam weź konia za cugle.

Wilczek wskoczył rześko do kabrioletu, Skałka wdrapał się za nim, John puścił cugle i panicz zlekka zaciął konia.

Siwosz stał jak wryty.

— Do tysiąca djabłów!—krzyknął Wilczek—co to ma znaczyć?.. znarowili mi konia. Hola! John, weź go za cugle i wyprowadź na ulicę.

Janek ujął drżącego siwosza przy pysku i głaszcząc go drugą ręką, powoli wywiódł za bramę.

Wilczek tym razem porzucił żartobliwy ton, zaciął zęby i dał uczuć zuchwalcowi całą potęgą bicza, schwyconego silną dłonią. Siwosz prysnął z miejsca trzema sarniemi skokami, jak gdyby chciał ze skóry wyskoczyć—wichrem uniósł za sobą lekki powozik.

Dawny spokojny uśmiech wrócił na oblicze woźnicy. Z dziwną zręcznością wymijał kamienie niedbale brukowanych ulic lwowskich, skręcał konia; zdawało się, że za każdym zawrotem kabriolet w drzazgi potrzaska. Na Skałkę nawet nie patrzył; kapitan jak kleszczami trzymał się poręczy, pochylał w lewo lub w prawo, przymrużał kolejno oczy, wykrzywiał twarz jak wypadało dla utrzymania przeciwwagi, w duszy zaś przeklinał szaleńca, któremu snać zarówno było zginąć w pojedynku, lub kark skręcić z powozu.

Niebawem wypadli za miasto i zwróciwszy w bok, piaszczystą drogą, gdzie łatwiej było pohamować zapał siwosza, wkrótce stanęli przed wysoką murowaną gospodą, dokąd zwykle mieszkańcy Lwowa udawali się na wieczorne letnie przechadzki. Tu dziś, w wielkiej sali na pierwszem piętrze, miał rozstrzygnąć się spór, wszczęty na wczorajszym balu.

— Niepotrzebnie spieszyliśmy—rzekł Władysław — długo jeszcze zaczekamy na tych panów. Przejedźmy się trocha, kapitanie; pragnąłbym siwego mego jegomości raz na zawsze odzwyczaić od dzisiejszych jego głupstw.

Skałka za całą odpowiedź, przyłożył dłoń nad oczy i wskazał, na dalekich płachtach marcowego śniegu, czerniejące kształty ludzi i koni.

— Rozumiem, nie pora do przejażdżek, towarzystwo, jak widzę, licznie się zebrało; spostrzegam kilka powozów i kilku konnych.

— W pierwszych — przerwał Skałka — jadą nasi przyjaciele; ci drudzy na koniach są Węgrzy.

Wilczek zapalił fajkę — w staroświeckich owych czasach nie używano jeszcze cygar — podszedł do swego powozu i jął dawać Jankowi polecenia, jak się ma nadal obchodzić z siwoszem. Skałka niecierpliwie oczekiwał jadących; w tej chwili i po tem wszystkiem co z rana widział, obecność Wilczka mu nie wystarczała; potrzebował koniecznie wygadać się przed kimś takim, kogo jeszcze sumiennie mógł w poczet żyjących policzyć.

Rozległo się głośne trzaskanie z bicza; dwa czterokonne powozy zajechały przed gospodę, dwóch wypiórowanych strzelców otworzyło drzwiczki i satellity świetnego planety, który dziś, albo miał zajaśnieć nowym blaskiem, lub też przyćmić się krwawym obłokiem, zeskoczyli na ziemię. Młodzież otoczyła Wilczka, poczęła kolejno ściskać go za ręce, wesoło przyjmując żarty, jakie przywódca sypał ze zwykłą szczodrobliwością.

Juliusz po krótkiem powitaniu odprowadził Skałkę na stronę.

— Oto—rzekł—oddaję ci szable; trzy tego przywiozłem, dwie augustówki wypróbowane i wyostrzone jak brzytwy, trzecia, turecka klinga na nasz sposób oprawna. Doktór za chwilę przybędzie; poleciłem Mysłowskiemu i Gorajskiemu, aby go przywieźli nie mówiąc na co i po co. Patrz! huzary tuż przed nami; jest ich pięciu; jadą sobie stępa, jak gdyby na przechadzkę się byli wybrali. Zgadujesz, że policya wie o wszystkiem, ale pułkownik węgierski, do którego komisarz natychmiast po balu się zgłosił, wytłumaczył mu, że sprawa ma odbyć się w mieście, wieczorem, lub też dopiero jutro rano. Możemy być spokojni.

— Szanownego rotmistrza! - krzyknął Skałka do Hoszwarego, który o kilkanaście kroków od gospody spiął konia i na miejscu osadzał przed progiem; nie pytam jak się spało; niedawno oba zeszliśmy z grangardy; Bóg świadkiem, odprawialiśmy ją razem przez całą noc czujnie i trzeźwo.

— Kapitan przez skromność nazywa grangardą co w istocie było potyczką — rzekł Juliusz — jestem przekonany, że nie jeden trup legł pod stołem.

Rotmistrz Hoszwary uśmiechnął się, woskowane wąsy podkręcił do góry.

— Nie pierwsza to — zawołał i nie ostatnia spodziewam się, jaką staczamy z kapitanem; inaczej, w cóż obróciłoby się wasze polskie przysłowie? — nie pamiętam go zupełnio, wiem tylko, że rzecz idzie o szabli i o szklance, o Polakach i o nas Madziarach.

Śród tego, Nemesz i trzej oficerowie zsiedli z koni i wbiegli do sali, co postrzegłszy rotmistrz, uciął nagle rozmowę i poszedł złączyć się z towarzyszami.

Młodzież polska spojrzała po sobie; Wilczek skinął na kapitana, postawił Janka przy schodach z rozkazem, aby nikogo nieznajomego na górę nie puszczał, sam zaś wszedł na czele swego orszaku do sali.

Była to obszerna izba, którą gospodarz wynajmował na wesela lub bale, ogołocona z wszelkich sprzętów, prócz wązkich ławek do koła ściany obiegających.

W głębi, otoczony huzarami, stał Nemesz wsparty na krzywej szabli i przytłumionym, ale namiętnym głosem rozmawiał z rotmistrzem.

Bezwątpienia, był to panicz urodzony na żołnierza; nie darmo też rościł prawa do serc niewieścich. Średniego wzrostu, zwinna jego postać, smagłe oblicze, bystre oczy i włosy czarne jak smoła, wdzięcznie przypadały do węgierskiego narodowego stroju; zamaszystość przytem madziarska, zaokrąglona wyżyciem w świecie i wykwintnem wychowaniem, zdala odznaczały go od rubasznych po większej części towarzyszów.

— Obowiązkiem świadków — rzekł, postępując jeden z oficerów, jest raczej wstrzymywać niż zachęcać do pojedynku, jeżeli zatem pan hrabia Wilczek zechce odwołać wczorajsze wyrazy...

— Pan hrabia Wilczek—odparł Juliusz — może tylko powtórzyć, co wczoraj powiedział.

Huzar ukłonił się i wrócił do swoich; Wilczek ścisnął rękę Juliuszowi, rzucił na okno niedopaloną fajkę i powoli zdejmował z siebie zwierzchnią odzież.

Skałka dobył szable z pochew, jął przykładać do oka, mierzył zali były proste, poczem stanął na prawo ku środkowi, dając znać Węgrom, że wszystko było w pogotowiu.

Przeciwnicy zbliżyli się o kilka kroków do siebie; na ukłon Nemesza, Wilczek oddał pozdrowienie z grzecznym pośpiechem, podczas gdy rosmistrz znacząc czwarty kąt kwadratu, stawał naprzeciw Skałki. Reszta towarzystwa, na dwóch przeciwnych stronach, w milczeniu, jeżeli nie w zupełnej spokojności, oczekiwała wypadku walki. Każdy z widzów, starał się przystroić lice w jak najobojętniejszy wyraz; nie wypadało widocznie okazywać wzruszenia. Nadaremnie—w jednych niepokój, w drugich ciekawość, w innych nawet pewien rodzaj trwogi, kołysały się na twarzach, iskrzyły w oczach, gdyż nie podpada wątpliwości, że jest wiele wrażeń daleko znośniejszych od widoku mordujących się nawzajem dwóch uczciwych ludzi.

Rotmistrz zakomenderował. Skałka uderzył nogą; szczęknęły szable przeciwników.

Odwiecznie szczątki azyatyckiej krwi zagrały Węgrowi w żyłach; na pierwszy dźwięk żelaza rozszalała wschodnia madziarska natura, czarne brwi nasunęły się mu na oczy, rozdęły nozdrza; Nemesz przysiadł do ziemi i ulewę ciosów spuścił na galicyjskiego panicza.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kazimiera Falkowska

otworzyła 825—12—8

MAGAZYN SUKIEN

i Okryć Damskich

ul. Królewska 29a,

przyjmuje wszelkie obstalunki, wykończenie akuratne. Ceny umiarkowane.

Ś-to Krzyzka № 3¹, m. 6.

Po kilkoletniej praktyce w pierwszorzędnych magazynach warszawskich, otworzyłam

Pracownię Sukien i Okryć Damskich

zaopatrzoną w najświeższe żurnale paryzkie

Robotę najwykwintniejszych kostyumów wykonywam dokładnie i punktualnie z czem polecam się łaskawym względom JW. W. Pań. 861-3-1

Ignacja Dominikowska.

Ś-to Krzyzka № 3¹, m. 6.

NANON najlepsza, najtańsza pomadka, dostać można wszędzie. NANON

866—13—1

D. Sukiennik

Królewska 16.

LECZNICA

Marszałkowska № 94,

róg Nowogrodzkiej (gdzie apteka W-go Barcza).

Porady we wszystkich specyalnościach dla przychodzących chorych od g. 9 do 4 i od 7 do 8 p. p., codziennie, nie wyłączając niedziel i świąt.

Cena kop. 30. 806—15-11

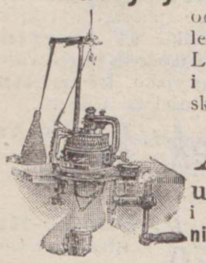
SPECYALNY ZAKŁAD

Reparacyi maszyn do szycia

W. KALINOWSKI

Wspólna Nr. 15 785-50-19

Maszyny Pończosznicze



oddawna poszukiwane najlepszej fabryki Koepégo w Laubegast systemów „Lamb" i „Victoria" nadeszły do składu HURTOWEGO maszyn do szycia

A. Goldberga

ulica Długa Nr. 43

i sprzedaje takowe **detalicznie** po **cenach hurtowo-fabrycznych.**

UWAGA. Powyższe maszyny z powodu wysokich cen od dłuższego czasu nie były prowadzone przez tutejszych kupców. Obecnie zaś fabryka ceny znacznie zniżyła dając możność sprzedawać swoje maszyny, wszędzie uznane za najlepsze po cenach tańszych od wszystkich innych fabryk. 862-3-1

Ważne dla pp. Krawcowych!

Kroazy we wszystkich kolorach,

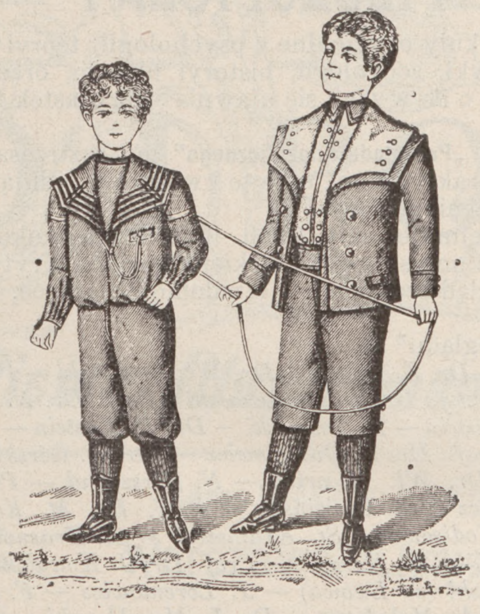
Nicianki, Towary Norymberskie

i wszelkie dodatki do sukien po cenach najniższych 758-25-12

poleca Magazyn

M. SADOWSKIEGO

7. PODWALE 7.



Magazyn Okryć Damskich

JÓZEFA SKWARY

Niecała № 14, 1-szy dom od Ogrodu Saskiego,

poleca nowe fasony okryć na sezon wiosenny w wielkim wyborze od skromnych do najstrojniejszych, posiada wybór materyałów krajowych i zagranicznych, z których przyjmuje zamówienia.

Przyczem ma honor zawiadomić Szanownych Rodziców i Opiekunów, iż niezależnie od powyższego magazynu Okryć damskich otworzył:

858—3—2

BAZAR SZKOLNY,

przy ulicy Niecałej № 12, drugi dom od ogrodu,

gdzie przygotował wielką ilość ubrań uczniowskich wszystkich zakładów naukowych, jako to: ***Mundury, Bluzy, Szynele, Czapki*** i t. p. oraz ***Garnitury, Płaszczyki i Palta*** dziecinne w największym wyborze. Ceny możliwie niskie.

Przyjmuje również ***karbowanie, plisowanie i rurkowanie*** wszelkich materyałów.

SKŁAD ROWERÓW i MASZYN DO SZYCIA ✽ **ROBERT WILCZYŃSKI**

810—50—12 **ceny możliwie umiarkowane.** LESZNO Nr. 12.

Nagrodzone na Wystawie Hygenicznej w Warszawie Dyplomem honorowym.

do nabycia wszędzie

Najlepsza Marka krajowa.

KAKAO funt k. 90 i Rs. 1.

KAKAO na sposób Holenders.

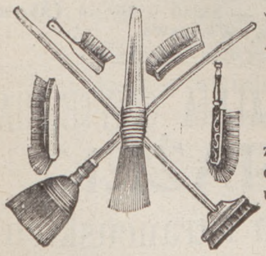
EXELSIOR funt Rs. 1,20 i Rs. 1,90.

Najlepsza Marka krajowa.

do nabycia wszędzie

poleca Parowa Fabryka Czekolady i Cukrów **E. WEDEL**

Filia w Warszawie i w Łodzi. 792-12-9.



FABRYKA SZCZOTEK I PĘDZLI

ALEKSANDRA FEIST

w Warszawie, Senatorska 24,

zwraca uwagę na dogodny sposób przesyłania towaru przez zaliczenie pocztowe lub kolejowe. Najmniejsza ilość towarów dla użytku domowego, toaletowego lub zakładów fabrycznych przesłaną być może. 844-12-1

Fabryka konkuruje nie ceną lecz dobrocią towaru.

Egzystująca od roku 1824

FABRYKA WYROBÓW PLATEROWANYCH

1 Srebrnych 84 próby

Józefa Fraget,

w Warszawie, ulica Elektoralna Nr. 16.

WŁASNE MAGAZYNY ZNAJDUJĄ SIĘ:

W WARSZAWIE: Senatorska 17, Krakowskie-Przedmieście 69, Nalewki 16. 738-26-20 ŁÓDŹ: Piotrkowska 16.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

Felicyi Ginejko przy zakładzie froeblowskim ***Jadwigi Chrząszczewskiej***

w Warszawie, Nowy-Świat 21. 804-8-2

Składy Nici, Galanteryi i towarów Norymbergskich

ALOIZY LUDWIG

W WARSZAWIE. 790-12-9

Skład Główny: ulica Senatorska Nr 6. Filia: Marszałkowska Nr 119.

GAMASTON

Wiarą ✽

Nadzieja ✽

Miłość ✽

Nowelle, z illustracyami

A. Kamieńskiego i S. Sawiczewskiego.

Rs. 1 kop. 50.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Administracyi

„Tygodnika Mód i Powieści."

Zakład naukowy Żeński 6-cio klasowy z oddziałem przygotowawczym

STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście № 2

(wprost Kopernika),

przyjmuje uczennice na przychodnie, półpensyonarki i pensyonarki stałe. Wymagania hygieny i pedagogiki ściśle przestrzegane, mieszkanie 8 łokci wysokie na I-em piętrze, system klas korytarzowy. Tablice graficzne, przedstawiające fizyczny rozwój dzieci w Zakładzie będących, odznaczone zostały pochwałą, a prace uczennic, oraz pomoce naukowe Zakładu, nagrodzone **medalem** przez Komitet zeszłorocznej Wystawy hygienicznej w Warszawie.—Po za obowiązującym programem nauk szkolnych, kładzie się nacisk na krój, roboty ręczne, konwersacyę w obcych językach, oraz dobre wychowanie w najwyższem znaczeniu tego słowa.—Warunki przystępne. Gimnastyka, śpiew, tańce bez oddzielnej opłaty od pensyonarek.—Zapis i egzamin nowo-wstępujących uczennic odbywa się codziennie.

Przedmioty Gospodarstwa Domowego
Jerozolimska 72

MAGAZYN „METROPOL"

Sprzedaż za gotówkę i **NA RATY** od 30 kop. tygodniowo
Jerozolimska 72 766—50-31

Gabinet-dentystyczny.
ze specyalną pracownią do wstawiania
ZĘBÓW SZTUCZNYCH
od 1 do 10 rub. za sztukę
818-52-9 **pzyjęcie od 9 do 6:**
Chmielna N-r 16. m. 4.

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Sukien
J. Królikowskiej
Niecała № 7, Marszałkowska № 114.
Polecają najnowsze fasony na każdy sezon po cenach umiarkowanych. 726-25-15

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS
jedynie nieszkodliwy,
dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.**
Pudełko kop. 15, 30 i 50.
768—20-10

Po dziesięcioletniej praktyce w pierwszej haftarni Panny Bobrowskiej, otworzyłam pracownię haftów i przyjmuję roboty maszynowe i ręczne. 759-24-12
Miodowa Nr. 1.
miesz. 17, 2 brama 1 piętro

Nowo-otworzony Magazyn Mód
L. ZIELINSKA
11. NIECAŁA 11, I piętro. 692-40-35



FABRYKA
PIANIN
839-13-7
Ludwik Hildt (Syn)
Nowogrodzka № 11.

FORTEPIANY nowego systemu
po cenie pianin poleca
W. BRAWECKI
b. współpracownik firmy **Krall i Seidler**
Jerozolimska 49.
Przyjmuje reparacye i strojenie po cenach przystępnych. 826—12—8

Dla Pań malujących
Farby, Przybory Artystyczno-Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład
T. CZARNOCKIEGO
101, Marszałkowska 101,
w WARSZAWIE. 812-50-12

Fabryka Kwiatów sztucznych
Wróblewskiej
Marszałkowska 140, m. 5,
poleca piękne wyroby, tak balowe, jako też i kapeluszowe, po cenach bardzo przystępnych. 808—13—12

Welocypedy dziecinne,
Wózki dziecinne, 843—12—6
Fotele dla chorych
w najlepszym gatunku,
Wszelkie reperacye najtaniej poleca
NOWO-OTWORZONA PRACOWNIA
Stanisława KŁYSZEWSKIEGO
Aleja Ujazdowska № 17.

FABRYKA SZCZOTEK i PĘDZLI
M. TENCERA
WARSZAWA, Krakowskie-Przedmieście Nr. 39 (obok hotelu Saskiego).
Sprzedaż hurtowa i detaliczna po cenach umiarkowanych. 671—50 42

„PRZEGLĄD FILOZOFICZNY"

Treść pisma stanowią artykuły oryginalne z psychologii, teoryi poznania, logiki, metodologii, etyki, socyologii, historyi filozofii, oraz ze wszystkich nauk specyalnych, o ile w nich się ujawnia pierwiastek filozoficzny.

Jednym z głównych zadań **„Przeglądu Filozoficznego"** jest roztrząsanie kwestyi, wywołanych życiem praktycznem, o ile te kwestye znajdują się w ściślejszym związku z zagadnieniami filozofii.

Dział sprawozdawczy obejmuje cały ruch filozoficzno-naukowy z wyżej wymienionych dziedzin umysłowości ludzkiej i zawiera: Krytykę i Sprawozdania rzeczowe, Przegląd czasopism. Wiadomości bieżące, Notatki filozoficzne, Bibliografię.
863—1—1

Współpracownikami „Przeglądu" są.

E. Abramowski — K. Appel — Dr. Z. Balicki — Dr. Wł. Biegański — Prof. Dr. J. Baudouin de Courtenay — Prof. Dr. P. Chmielowski — Prof. Dr. N. Cybulski — J. Wł. Dawid — S. Dickstein — R. Dmowski — Dr. B. Epstein — Dr. M. Flaum — B. Grabowski — Prof. Dr. L. Gumplowicz — Dr. K. Górski — Wł. Gosiewski — Z. Heryng — Dr. Wł. Heinrich — N. Hirszband — Prof. Dr. H. Hoyer — Dr. J. Karłowicz — L. Karpińska — Prof. Dr. M. Karejew — St Karpowicz — Dr. J. Kodisowa — St. Kramsztyk — A. Krasnowolski — K. Krauz — L. Krzywicki — T. Korzon — Prof. Dr. J. Kowalski — Wł. Kozłowski — Wł. M. Kozłowski (ze Lwowa) — J. Lorentowicz — F. Łagowski — Dr. J. Łukaszewski — A. Mahrburg — Dr. L. Marchlewski — Dr. M. Massonius — Prof. Dr. T. Masaryk — Prof. Dr. Wł. Natanson — Prof. Dr. J. Nusbaum — R. Maliniak — Dr. J. Ochorowicz — Dr. Wł. Olechnowicz — Dr. Wł. Ołtuszewski — Prof. X. S. Pawlicki — J. K. Potocki — S. Posner — Z. Przesmycki — L. Przysiecki — Dr. R. Radziwiłłowicz — Prof. Dr. L. Stein — Prof. Dr. H. Struve — Dr. A. Świętochowski — Prof. Dr. K. Twardowski — F. Wermiński — Dr. A. Złotnicki.

„Przegląd Filozoficzny" wychodzi co kwartał, obejmując od 8 do 10 arkuszy druku.

Prenumerata **„Przeglądu Filozoficznego"** wynosi: w Warszawie: rocznie rs. **4**, półrocznie rs. **2**; z przesyłką pocztową: rocznie rs. **5**, półrocznie rs. 2 kop. **50**.

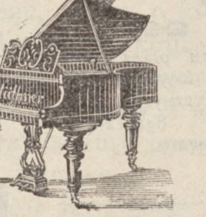
Prenumeratorzy roczni otrzymają jako dodatek bezpłatny dwa odczyty Emila du Bois Reymond'a p. t. „O granicach poznania natury" i „Siedm zagadek wszechświatowych", w tłumaczeniu i ze wstępem Dr. Maryana Massoniusa.

Redaktor i Wydawca ***Dr. Władysław Weryho*** *Warszawa, Krucza 46.*

GEBETHNER i WOLFF

17. Krakowskie-Przedmieście 17.
864 50—1 NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład Pianin



Fortepianów i Organów

WYNAJEM. Sprzedaż na raty.

Najtańsza, najłatwiejsza i najprędsza w świecie nauka kroju

Sukien, Okryć damskich i dziecinnych, bez rysowania form, systemem Kazimierza Lewańskiego, za cały aparat, rozsuwany na wszystkie figury, począwszy od dziecinnej, aż do najotylszej, wraz z objaśnieniami, płaci się **tylko rs. 5.** Do każdej miejscowości Królestwa wysyła się nauczyciela, lecz nie inaczej, jak do czterech osób, za opłatą **tylko rs. 6.** Jedna osoba może być informowana za pomocą korespondencyj. Osobom nieczasowym udziela się wskazówek wieczorami.—Tamże wykonywają się Okrycia damskie przez specyalistów wykwalifikowanych za granicą. **Królewska 17.**
834—12-5

KUPNO
SPRZEDAŻ I REPERACYA
używanych maszyn do szycia
J. HEIMAN, 851-12-4
Przechodnia 8, tel. 874.

ZAKŁAD GALWANICZNY L. Kardaszyńskiego
ulica Czysta Nr. 8 w Warszawie.
Przyjmuje do reperacyi i odnawiania wszelkie wyroby **z różnych metali** po możliwie **nizkich cenach.** Stołowa robota z 2-letnią piśmienną gwarancyą. 760—25—12

KWIATY
SZTUCZNE poleca
M. CIECHANOW
Elektoralna 31. 822—15—8

Są do nabycia w księgarniach podręczniki naukowe pedagoga **Reussnera** p. t.

Najlepsza Metoda

najłatwiejsza do **bardzo prędkiego** a **gruntownego** nauczenia się **Języków Obcych bez nauczyciela,** z objaśnieniem **wymowy** i z **Kluczem** na końcu każdego dzieła:

„Samouczek" Polsko-Niemiecki, kurs wstępny **(Elementarz)** po kop. 10, 20, 35; — kurs I-szy kop. 60,—kurs II-gi kop. 1.60, — komplet (oba kursy) kop. 2.00; **Rusko-Niemiecki Samouczek** po kop. 10, 20, 35 i 2.70.

„Samouczek" Polsko-Francuski, kurs I-y 13 zeszytów, kurs II-gi 24 zesz. Gramatyka Polsko-Francuska 10 zesz. po 15 kop. (pocztą 18 k.); na zaliczkę wysyła się tylko **20, 10** lub przynajmniej **6** zeszytów.

Kurs I-y z drugiej edycyi w całym tomie kosztuje rs. 1 k. 20 (pocztą rs. 1 k. 35). Każdy nabywający wszystkie **47 zeszytów „Samouczka" Francuskiego** wprost **od autora,** otrzyma jako **bezpłatne premium** dzieło wartości rs 1 k. 20.

„Samouczek" Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75,—kurs II-gi kop. 1.20, komplet kop. 1.70.

„Samouczek" Polsko-Ruski z wymową i akcentowaniem wychodzi zeszytami po 10 kop. (pocztą 13 kop.)

„Samouczek" Francuski i Ruski został opracowany i wydany tylko wskutek usilnego domagania się Szan. Publiczności i pp. Pedagogów.

Amerykański Przewodnik z rozmówkami angielskiemi, wydanie II-ie znacznie powiększone, 50 kop.

„Samouki *Wielcy ludzie",* t. j. 33 życiorysy najsławniejszych ludzi z 16 rycinami, 80 kop., w oprawie rs. 1 k. 50.

Petöfi Aleksander, król poetów węgierskich, wieszcz nieśmiertelny, bożyszcze narodu madziarskiego, poeta nad poetami. Kop. 70, opr. rs. 1 k. 20.

Elementarz Polski z wzorkami pisma i rysunków i z obrazkami **(741 figur)** po 4, 15, i 25 kop.

Na przesyłkę pocztową dolicza się 20 kop. do każdego rubla — Skład u autora **(Reussnera),** Złota 6, Warszawa. 790—11-7

WYPOŻYCZALNIA (CZYTELNIA)
KSIĄŻEK
polskich i francuskich
przy Księgarni Sortymentowej i Składzie Nut **MAURYCEGO ORGELBRANDA, M. Machwitz** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika. Wysyła się i na prowincyę. 748—25 23

MAGAZYN MÓD
Maryi Gajewskiej
853-6-3 W WARSZAWIE.
ulica Podwal Nr. 16.
poleca wielki wybór kapeluszy po cenach umiarkowanych.

KWIATY SZTUCZNE
tylko w dobrym gatunku
848—1—4 **Zielna 6 m. 8**

Pracownia Gorsetów Estetyczno-Hygienicznych
oraz Szelek do prostego trzymania
„EUGENII"
Obstalunki wykonywa w 12 godz. Przyjmuje do prania i reperacyi. **Ceny przystępne.**
837-12-7 **Warszawa, Nowy-Świat 16.**